



# NA SZLAKU

STYCZEŃ  
1994  
ROK VIII NR 1/55

**GÓRY \* TURYSTYKA \* ALPINIZM**



Skalka z grupy Końskich Łbów na Szrenicy w Karkonoszach. Foto: Zdzisław J. Zieliński

## W NUMERZE M.IN.:

- Tylko schronisk żal
- Więcej turystyki i krajoznawstwa dla młodzieży (1)
- Na szlaku z KTG ZG PTTK
- Salve Dolomiti
- W głuszy pod Jaworzyną
- Zamkowe opowieści (23)
- Szlaki turystyczne w Karpatach Polskich (19)
- Fotografowali Tatry (6)
- Bieszczadzkie realia – lato 93 (2)
- Globtroter
- Spacerkiem po górach
- Góry i alpinizm

# Na Szlaku

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy poświęcony górom.  
Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

Zespół redakcyjny: Piotr Dacko (red. techniczno-graficzny), Aleksander Lwow, Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny), Andrzej Matuszczyk (Kraków), Stanisław Nosol (sekretarz red.), Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa).

Sekretariat i administracja:  
Małgorzata Podsiadło, tel. 386-69.

Stale współpracują: Tomasz Kowalik (Warszawa), Józef Nyka (Warszawa), Przemysław Pillich (Warszawa), Jullusz Wysłouch (Toruń).

Adres Redakcji: 50-106 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, III p., tel. 386-69.

Wydaje: Oficyna Wydawnicza „Sudety”  
Oddziału Wrocławskiego PTTK.

Redakcja zastrzega sobie prawo  
adiustacji tekstów.  
Materiałów nie zamówionych  
Redakcja nie zwraca.

Druk: Drukarnia Uniwersytetu  
Wrocławskiego

Numery archiwalne do nabycia  
w Redakcji.

Prenumerata na rok 1994 (wraz z kosztami przesyłki) wynosi 190 000,- zł.  
Prenumeratę przyjmuje: Oddział Wrocławski PTTK, Oficyna Wydawnicza „Sudety”, 50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, III p., Bank Zachodni I O/Wrocław, nr konta: 389206-1515-132 z zaznaczeniem „Na Szlaku”. Prosimy o czytelne podanie adresu.

Stały kolportaż prowadzi: CIESZYN — Sklep PTTK „Gronie”, ul. Głębocka 42; GDAŃSK — Księgarnia „Dom Ferbera”, ul. Podkramarska 5; GLIWICE — Księgarnia „U Piotra”, ul. Arkońska 8; KRAKÓW — PTTK, ul. Dyrekcyjna 10; SKLEP GÓRSKI „Wierchy”, ul. Szewska 23; NOWY SĄCZ — O/PTTK, Rynek 9; SZKLARSKA PORĘBA — Księgarnia „Libra”, ul. Jedności Narodowej 10; ŚWIDNICA — O/PTTK Świdnica; WAŁBRZYCH — O/Wałbrzyski PTTK, ul. Lewartowskiego 2; WARSZAWA — ZG PTTK, ul. Senatorska 11; WROCLAW — O/Wrocławski PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, O/Fabryczna PTTK, ul. Włta Stwosza 15; ZAKOPANE — Księgarnia Górską im. T. Staicha, ul. Zaruskiego 5 (Dom Turysty) oraz Redakcja.

Za nami już chwile refleksji i rozdzinnych spotkań przy świątecznych stołach, chwile sylwestrowych zabaw i beztrudnej radości. Wkroczyliśmy oto w kolejny Nowy Rok, a za nami jeden z licznych, które tworzą łańcuch naszego żywota. Rok jak rok – wydarzyło się w nim wiele: z dużymi emocjami wybraliśmy nowe Zgromadzenie Narodowe, mamy rząd zupełnie innych barw niż poprzednio, w mniejszym gronie wybraliśmy też nowe władze PTTK, na Bałkanach łała się obficie krew. Z naszego

i mamy nadzieję, że i teraz nadejdzie. Ciągłe bowiem za mało mamy nabywców, których ilość nie wystarcza na pokrycie kosztów, choć posiada ona tendencję wzrostową. Jeżeli więc, Drogi Czytelniku, możesz komuś zaoferować sprzedaż numeru czy prenumeratę, to będzie dla nas wielką pomocą. Ale także i dla wszystkich, gdyż ułatwi wydawanie magazynu. Robimy bowiem to po najmniejszych kosztach, zawsze starając się pamiętać o najwierniejszych – o prenumeratorach. Zawsze gwarantujemy im

## Drodzy Czytelnicy!

grona ubyłoby wiele osób, w tym naszych przyjaciół, znajomych, krewnych. Ale też narodziło się wiele maluchów, które mimo wszystko mają większe szanse na spokojny byt i dzieciństwo aniżeli poprzednie pokolenia. Pamiętajmy, że to i od nas zależy. Ale czy też nie ma roku w kalendarzu, w którym nic by się nie wydarzyło? Cóż, życie...

Dla naszej górsko-podróżniczej braci był to kolejny rok wspaniałych lub co najmniej miłych wędrówek, fantastycznych wojaży, o których długo będziemy jeszcze mówili, szykując się zarazem do następnego sezonu. Już teraz zapewne w wielu domach i klubach wertowane są mapy, przewodniki i informatory przed podjęciem ostatecznej decyzji: może tu, a może tam? Życzymy wszystkim pełni zdrowia i siły, pogody ducha, no i w miarę choćby zasobnej salkiewki, aby wszystkie te wizje, snute wieczorową czy nocną porą, ziściły się w nadchodzącym sezonie, nawet jeżeli miałyby się odnosić do najbliższych pagórków czy jedynej w okolicy górki. One również przecież potrafią zapewnić tyle radości i spokoju ducha!

Nasza Redakcja też z zadowoleniem pożegnała się z minionym rokiem. Mimo bowiem galopady cen usług i papieru zdołaliśmy się utrzymać na coraz trudniejszym rynku – przybywa tytułów, niekiedy oślepiających barwami okładek i wnętrza numerów, ubywa zaś środków, jakie społeczeństwo skłonne by było przeznaczyć na zakup magazynu – w końcu nie artykułu pierwszej potrzeby. Bądźmy szczerzy – gdyby nie znacząca dotacja z Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, nie byłoby nas. Ale w końcu robimy dobrą robotę dla polskiej turystyki, nieprawdaż? Dziękujemy za tę pomoc

utrzymanie ceny przez cały rok, traktując opłatę za przesyłkę wręcz jako symboliczną. Poszczególne numery w wolnej sprzedaży musimy jednak czasami sprzedawać po wyższej cenie, aby choć w minimalnym stopniu przeciwdziałać zwiększającym się kosztom. Staramy się też drukować coraz lepiej, stąd dwa poprzednie numery wykonane były już w Drukarni Uniwersyteckiej, co odbiło się (mamy nadzieję, że Czytelnicy to zauważyli!) na lepszej czytelności zdjęć. Niestety, musieliśmy trochę więcej za to zapłacić.

Decydujemy się w tym roku na pewien ryzykowny krok. Stosując niewielką podwyżkę (w stosunku do całości ceny i kosztów), będziemy dawać do czytania zwiększoną o jedną trzecią objętość. Takie bowiem otrzymywaliśmy sugestie i na tyle mamy materiałów. Oczywiście, dla prenumeratorów obowiązują te warunki, jakie już podaliśmy! Prosimy o propagowanie nas, gdyż oficjalne kontakty nic nie dają. Wystaliśmy w ubiegłym roku egzemplarze do oddziałów górskich i schronisk z propozycją prenumerowania lub podjęcia dystrybucji na swoim terenie. Otrzymałszy raptem... dwie odpowiedzi! A działacze nic nie wiedzą. Znow te przepastne biurka pracowników biur PTTK? Zachęcamy – piszcie do nas o swoich problemach, refleksjach, wrażeniach ze szlaków. Oby było ich jak najwięcej i jak najlepsze! Do Siego Roku!

Redakcja

Serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przesłali nam świąteczne i noworoczne życzenia, składa

Redakcja

## Redakcja „Na Szlaku”

Artykuł kol. Marka Staffy „Góry sprywatyzowane” („Na Szlaku”, nr 9) jest przepojony pesymizmem z powodu prawdopodobnej prywatyzacji niektórych schronisk i zmniejszonego ruchu turystycznego w górach. Nie podzielam tego pesymizmu.

Obecnie byt wielu schronisk jest zagrożony, na skutek zmniejszonego ruchu turystycznego i konkurencji prywatnych obiektów noclegowych, o wyższym standardzie i niższych opłatach. Ratunkiem dla tych schronisk może być właśnie prywatyzacja. Nie należy się jej bać. Obiekty prywatne lepiej służą turystom. Być może, że niektóre schroniska, źle zlokalizowane, stracą rację bytu. W sumie jednak baza noclegowa ciągle rośnie, a jakość jej świadczeń się podnosi. Czy to powód do zmartwienia?

W PRL wszystkie schroniska były własnością społeczną, ale nie zasłużyły się turystom. W sezonie były zajęte przez wczasy, kolonie i obozy. Jakość świadczeń była niska, opłaty – wysokie, dbałość o obiekty – minimalna.

Jedną z przyczyn zmniejszonego ruchu turystycznego na szlakach górskich jest oduczenie ludzi od samodzielnego wędrowania zorganizowaną turystyką zbiorową, forsowaną w PRL. Przypuszczam, że samodzielne wędrowanie wkrótce się odrodzi. Ja nie mam sentymentu do szlaków zatłoczonych, zwłaszcza przez hataśliwych rajdowców (niejednokrotnie pijanych). Marzę o odciążeniu Tatr.

Nie warto rozdzierać szat nad zmienioną sytuacją w górach. Lepiej spożytkować energię na dobijanie się o zmianę złych przepisów parków narodowych, ograniczających drastycznie swobodę wędrowania, i o konwencje turystyczne. Zmniejszenie ruchu turystycznego może być argumentem w przetargach z władzami.

Walerian Puchta

## O TATRZAŃSKICH UPRAWNIENIACH PRZODOWNIKÓW TURYSTYKI GÓRSKIEJ

Wśród licznych obowiązków przodownika turystyki górskiej regulamin wymienia m.in. „organizowanie i prowadzenie wycieczek oraz imprez turystyki górskiej” i „wykonywanie obowiązków w zakresie potwierdzania punktów zgodnie z regulaminem GOT”. Oczywiście jest, że dotyczy to tych terenów górskich, na które Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK nadała przodownikowi uprawnienia. Warto tu dodać, że tylko dwa wymienione wyżej obowiązki przodownika związane są z terenowym zasięgiem uprawnień.

Nadanie uprawnień poprzedzone jest m.in. złożeniem egzaminu przed odpowiednią „terenową” komisją egzaminacyjną powołaną przez ZG PTTK. Bardziej skomplikowany jest tryb zdobywania uprawnień na teren Tatr: najpierw zdaje się egzamin „wstępny” przed komisją „terenową”, a potem egzamin właściwy przed komisją egzaminacyjną KTG. Zasadę tę wprowadzono ze względu na specyfikę Tatr (wysokość, skala trudności). Zrozumiałe, że osobom mającym prowadzić wycieczki w trudniejszym terenie postawiono większe wymagania. Ponieważ – jak wiadomo – Tatry Polskie to przede wszystkim Tatrzański Park Narodowy, więc logiczne było wprowadzenie do komisji egzaminacyjnej przedstawiciela Dyrekcji TPN. W ten sposób Dyrekcja Parku zapewniła sobie wpływ na to, kto uzyskuje uprawnienia na teren Tatr (a więc i prawo do prowadzenia wycieczek na tym terenie).

Od kilku już lat można obserwować próby ograniczenia (w różny sposób) uprawnień przodowników turystyki górskiej do prowadzenia wycieczek na terenie parków narodowych. Działania tego typu prowadzone przez dyrekcje niektórych parków nasiliły się zwłaszcza po wejściu w życie nowej „Ustawy o ochronie przyrody” z dnia 16.10.1991 r. Ustawa ta dała podstawy prawne do różnorodnych ingerencji dyrekcji parków narodowych, m.in. w działalność turystyczną prowadzoną przez PTTK. Szczególnie aktywna pod tym względem jest Dyrekcja TPN. Ostat-

nio dowiedzieliśmy się („Na Szlaku” 10/93), że przodownicy turystyki górskiej mogą prowadzić wycieczki na terenie Tatr, jeśli ukończą kurs przewodnicki (organizowany przez TPN). W praktyce oznacza to zakaz prowadzenia wycieczek tatrzańskich przez przodowników.

W efekcie przedstawionych wyżej działań powstała następująca sytuacja: stosunkowo trudno uzyskać uprawnienia przodownika turystyki górskiej na teren Tatr ze względu na większą odpowiedzialność osób prowadzących wycieczki w tym terenie, a jednocześnie osoba posiadająca te uprawnienia i tak nie może prowadzić wycieczek, jeśli nie uzyska dodatkowo uprawnień przewodnickich. W tej sytuacji należy oczekiwać umocnienia się obserwowanej już tendencji do zmniejszenia się liczebności tatrzańskiej kadry przodowniczej. Stwarza to zagrożenie dla Terenowych Referatów Weryfikacyjnych GOT (kto będzie potwierdzał i weryfikował punkty zdobywane na terenie Tatr?).

Nie namawiam do nadawania uprawnień na Tatry każdemu, kto będzie tego chciał. Jednakże nadmiernie (i w obecnej sytuacji już nieuzasadnione) utrudnienia stwarzają zagrożenie dla idei GOT, nie wpływając na bezpieczeństwo turystów w Tatrach. Uważam, że nadszedł czas, aby postawić następujące pytania:

– Czy należy nadal stosować utrudnienia zniechęcające potencjalnych kandydatów na przodowników tatrzańskich?

– Czy uzasadniony jest udział przedstawiciela TPN w „przodowniczej” komisji egzaminacyjnej, skoro przodownicy chcący prowadzić wycieczki w Tatrach muszą ukończyć kurs organizowany przez TPN i zdać egzamin przewodnicki?

P.S. W najbliższych latach nie zamierzam ubiegać się o uprawnienia przodownicze na Tatry.

Jerzy Świgoń

Może ktoś zapytać: co upoważnia mnie do pisania na temat schronisk górskich w czasach ich niewątpliwego upadku. Byłem związany z ZG PTTK, a dokładniej – z Działem Turystyki Gór-

stwu Łapińskim. Wraz z odchodzeniem od pewnej ideowości, jaka, mimo wszystko, żyła w PTTK, a raczej wśród działaczy i turystów starszej daty – pokiosie idei PTT, następował powolny

szą metę nierealne. Jak pokazała rzeczywistość, kluby bardzo szybko przestały się interesować Funduszem. Członkowie tych klubów widzieli bowiem, że „ich obiekty” stają się coraz bardziej cudzymi obiektami. Nie respektuje się żądań, w schroniskach wczasy, kolonie. Kierownicy nie chcą przyjmować indywidualnych rezerwacji. Lista pretensji się wydłużała. Tymczasem samo PTTK zaczęło trzeszczeć w szwach, doszło do reorganizacji. To była woda na młyn różnych kombinatorów, nie mających nic wspólnego z PTTK i ideami krzewionymi przez działaczy górskich. Gdzie była wtedy KTG? Precedensów było aż nadto wiele, by się nad tym poważnie nie zastanawiać. Były, owszem, i pewne sukcesy, ale śmiem twierdzić, że były one bardziej skutkiem pewnego rodzaju bezczelności połączonej z przebojowością (vide dokonania i poczynania Edwarda Moskały). Trudno było oczekiwać od działaczy takich, jak Panowie Redzej, Gordon czy Lysio, wyciągnięcia pomocnej dłoni w kierunku tonącego okrętu, któremu na imię „Schroniska w polskich górach”. Zajęci byli akurat albo organizowaniem własnych przedsięwzięć gospodarczych, albo ratowaniem innego tonącego okrętu o nazwie „ZG PTTK – Warszawa”. Nie rozumiem, dlaczego działacze KTG ZG, na czele z jej wieloletnim prezesem, zacnym i godnym szcunku dr. Markiem Staffą, nie bili pięścią w stół, głośno się sprzeciwiając widząc politykę faktów dokonanych, prowadzonych za plecami PTTK, za plecami KTG ZG. Przykładem takiej swoistej bezradności były poczynania w rejonie Piłska. Ktoś, kto ma pieniądze, wypiera tego, kto tych pieniędzy nie ma lub ma ich za mało. Fundusz Schronisk Górskich widocznie nie miał tych pieniędzy, by być konkurencyjnym w walce o, jakby nie było, własne obiekty. Śmiem twierdzić, że wiele obiektów można uznać za bezpowrotnie utracone. Rynek, komercjalizacja, brutalność i bezwzględność działań ludzi nastawionych na zysk, i to maksymalny, musiały doprowadzić do tak smętnego końca. Pięć odchodzących w zapomnienie idei będą się teraz musieli od nowa skrzykiwać i zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Siedząc w schroniskowej dyskotekce, słuchając łomotliwej muzyki, będą wykrzykiwać sobie do ucha, jak to, panie, kiedyś pięknie było: przyszło się do schroniska, gdzie czekało niekoniecznie wygodne łóżko, była wspólna herbata, były proste posiłki. Na kominku buzował ogień, gospodarz schroniska zyczliwie pytał, czy czegoś państwu nie potrzeba. Ktoś wyciągnął gitarę, pierwsze akordy i oto słyhać słowa: „a w górach nie ma już nikogo”... bo niestety za drogo. Oj, bardzo drogo! Oto cena, jaką trzeba dziś płacić za zmarnotrawione, w dużej mierze na jałowych dyskusjach, lata. A schronisk żal.

## TYLKO SCHRONISK ŻAL

skiej i Narciarskiej w Krakowie przez pięć i pół roku. Pracowałem w biurze przy ówczesnym placu Wiosny Ludów 8. Los zetknął mnie wówczas m.in. z Cecylią Rudzką, Andrzejem Matuszczykiem – moim szefem, Wiesławem Wójcikiem. Miałem okazję poznać w swej pracy tak znanych działaczy turystycznych, a zarazem wytrawnych turystów i propagatorów turystyki górskiej, jak Marek Staffa, Edward Moskała, Jerzy Gajewski, Stanisław Lewadny i wielu innych. Wymieniam te osoby, które jakoś najbardziej utkwiły mi z tego okresu w pamięci.

Schroniska górskie, ich problemy, stanowiły zawsze oczko w głowie dla Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK, ta podstawowa baza, wizytówka Towarzystwa na terenach górskich. Teraz siedząc sobie pod palmami w dalekim Omanie, na Półwyspie Arabskim, czytam „Na Szlaku” i przecieram ze zdumienia oczy, widząc te wszystkie biadolenia na temat upadku schronisk w Polsce. Wybaczcie drodzy Czytelnicy i Wy wszyscy Koledzy, którzy zabieracie na ten temat głos, że pozwolę sobie na inny ton. Zgrzytliwy może w tym płaczący brzmącym chórze, ale inaczej nie mogę, nie chcę, choć nie muszę.

Najpierw pozwolę sobie na postawienie dość ryzykownej tezy: otóż odnoszę wrażenie, że do aktualnego stanu rzeczy przyczyniła się również w dużym stopniu sama KTG ZG i jej działacze. Postaram się to uzasadnić.

Starszym wiekiem turystom nie trzeba tego przypominać, ale młodszym tak, pewnie „uż se to nevrati”. Kiedyś było tak: każde schronisko miało swojego GOSPODARZA. Nie *jaśnie pana kierownika*, tylko gospodarza. To była podstawa sukcesu danego obiektu. Schronisko było jak dom. Zawsze gościnne, pełne ciepła, zrozumienia dla potrzeb prawdziwych turystów, ich wymagań, a często dziwactw. Wystarczy wymienić takie nazwiska, jak: Łapińscy, Krzeptowcy, Bielakowie czy Błaszczynscy. Każdy kojarzył te nazwiska z określonym punktem w górach i nie było niedomówień. Co z tego pozostało? Wspomnienia, tylko wspomnienia. Nawet Państwu Bielakom spłonęła „ich” Przehyba. I nie można wszystkiego zwałać na „system”. Bo to nie kto inny, jak właśnie „system” całe lata słał się u stóp np. gospodarzom Morskiego Oka, pań-

upadek schronisk. Gospodarzy zaczęli wypierać kontraktowi lub z przetargu *Kierownicy*, ujęci w plany, wskaźniki, wytyczne, budżety. Słowem, we wszystko to, co ze sobą niosła *jedynie słuszna* gospodarka socjalistyczna. W tym wszystkim „pomagał” w bardzo efektywny sposób ZG PTTK. Nie wiem, czy to kiedyś do kogoś dotarło, ale ja od lat wiedziałem, że sprawy gór byłyby bliższe sercu „centrali”, gdyby te góry stały nie dalej od stolicy, jak powiedzmy w Górze Kalwarii. Nie dalej!!! Wiadomo, kiedy patrzy się na góry z dużej odległości, to trudno jest ocenić ich wysokość i ich rzeźbę. Wydają się takie malutkie i niepozorne. Więc trudno się dziwić, że wysocy działacze PTTK-owscy nie mogli dostrzegać gór w ich pięknie i majestacie, ale i z ich problemami z okien siedziby na Senatorskiej. To też jest jedno ze źródeł toczącego się obecnie dramatu. Kiedy komuś szumi w uszach mazurski czy bałtycki wiatr, temu trudno jest się przyzwyczaić do ostrego wiatru wiejącego wśród smreków. Proces wymykania się z rąk schronisk, to nie jest kwestia ostatniego czasu, tak jak się to usiłuje sugerować. Baza schroniskowa była uszczuplana może niezbyt szybko, ale za to systematycznie, i co najważniejsze – skutecznie. Do takiego stanu rzeczy doprowadzało m.in. kapitulantwo KTG ZG wobec poczynań OZGT-ów. Dla kierowników schronisk, nie czujących żadnego regresu ze strony właśnie KTG, jedynym panem i władcą stawał się dyrektor najbliższego OZGT. Dyskusje i spory w łonie samej KTG niczego dobrego nie wróżyły. Sam wiem z własnego doświadczenia, z jakim lekceważeniem kierownicy schronisk wyrażali się o KTG. A czy ta Komisja tak naprawdę umiała zadbać o swój prestiż i pozycję? Nie, nie umiała. Był moment, kiedy nadarzała się okazja uchwycenia spraw w swoje ręce. To była chwila utworzenia Funduszu Schronisk Górskich. Ale i to, moim zdaniem, zostało nieodwracalnie zaprzepaszczone. Pamiętam dobrze to dzielenie skóry na niedźwiedziu, kiedy niewielkie pieniądze usiłowano dzielić, przeznaczając na ogromne cele i zadania. Przypominało to próby przykrycia się dwumetrowego chłopca kolderką z dziecięcego łóżeczka. Brakowało wtedy naprawdę rzutkiego i energicznego menedżera. Oparcie nadziei na wpłatach z klubów górskich, które prowadziły działalność gospodarczą, było na dłuż-

Tomaz Maria Dyras

Drugim po Karkonoszach, pod względem popularności wśród turystów, pasmem Sudetów są Góry Stołowe. Atrakcyjność unikatowego w skali kraju krajobrazu, gęsta sieć szlaków, bliskość uzdrowisk, sprawiają, że turyści zjawiają się tu szczególnie często. Miały też Góry Stołowe szczęście do wydawnictw. Nigdy nie były

wydaje mi się cokolwiek naciągane.

Autorzy większości przewodników (w tym także „Gór Stołowych”) dawno chyba nie korzystali z komunikacji PKS. Od wielu już lat w dni wolne od pracy Góry Stołowe stanowią prawdziwą pustynię komunikacyjną. Poza okresem wakacji wspomniane w przewodniku linie w głąb gór

(odnawianie granicy). Nota bene podobnych skał z wrytymi datami jest na granicy w Górach Stołowych znacznie więcej.

Nieco więcej niż w dotychczas wydanych przewodnikach jest mapek i szkiców. Pokazano np. rzuty zamku w Ratnie Dolnym i kościoła w Radkowie. Cieszy umieszczenie mapki obrazującej dojsie do

## Nowe „Góry Stołowe”

przez autorów i wydawców zbytnio pokrzywdzone, publikacji omawiających ich uroki raczej nie brakowało.

Dlatego przeglądając nowy przewodnik K. R. Mazurskiego, wydany przez oficynę „Sudety”, zwróciłem uwagę głównie na to, co nowego można się z niego dowiedzieć. A są tu rzeczy opisane w tego typu publikacji po raz pierwszy.

„Góry Stołowe” napisane są w tej samej konwencji, co wcześniejsze przewodniki sudeckie w serii zapoczątkowanej przez „Sport i Turystykę”, a kontynuowanej przez oficynę „Sudety”. Książeczka składa się z części ogólnej, opisów miejscowości i przebiegu tras. Chciałbym zwrócić uwagę na kilka szczegółów – zarówno mocnych stron, jak i słabych.

W części ogólnej, w rozdziale o klimacie, natknąłem się na dziwną informację, że w Górach Stołowych „...śnieży 180-190 dni w roku”. Traktując to dosłownie dochodzimy do wniosku, że śnieg pada tam przez pół roku! Chyba nie o to chodziło autorowi. Nie wydaje mi się, by aż tyle było dni z opadem śnieżnym. Może chodzi o długość zalegania pokrywy śnieżnej. A może o długość okresu między pierwszym a ostatnim opadem śniegu? Nie wiem. W rozdziale dotyczącym kształtowania się krajobrazu autor odszedł od przytaczania zarzucanej coraz częściej koncepcji trzyetapowego wypiętrzania górotworu i trzech powierzchni zrównań. To dobrze. Z tym, że rozwój morfologiczny opisał tak zawile, że mimo najszczerzej chęci i kilkakrotnego przeczytania tego fragmentu nie zrozumiałem do końca, o co chodzi. Wydaje mi się ponadto, że użytych zostało zbyt wiele określeń fachowych, obcych przeciętnemu odbiorcy. To prawda, że wysokość względna między Szczelińcem a Radkowie osiąga 400 m. Nie jest to zresztą jedyne takie miejsce w Sudetach. Powierzchnia obszaru o tak silnej dynamice rzeźby jest jednak w Górach Stołowych minimalna, dlatego porównywanie go z Tatrami Wysokimi

docierają wyłącznie w dni robocze. Tak więc turysta, który uwierzy informacji w przewodniku, może przeżyć przykre rozczarowanie.

Najobszerniejsza część przewodnika to opisy miejscowości. Po raz pierwszy opisano wszystkie (nawet najmniejsze) wioski i to naprawdę szczegółowo. Oczywiście trudno omówić wszystko, nie jest to zresztą celem przewodnika. Niektóre obiekty zresztą doczekały już się szczegółowych opracowań, do których może sięgnąć bardziej zaawansowany turysta. Ważne jest to, że autor wspominał o wielu drobnych zabytkach przydrożnych, o których dotychczasowe opracowania milczały. Cieszy to, że w kolejnych przewodnikach coraz więcej uwagi poświęca się czasom przedwojennym, ówczesnym mieszkańcom tych ziem i ich dokonaniom. Dzięki temu napotykanie podczas wędrowki obiekty przestają być dla turystów anonimowe. Cenną nowością są tłumaczenia niezrozumiałych dla większości turystów inskrypcji na przydrożnych krzyżach, pomnikach itp. obiektach.

Nie wszędzie wiadomości są zaktualizowane. Na przykład szkoła w Karłowie, opisana jako istniejąca, zawała się w 1991 roku, a do dziś pozostały po niej tylko resztki fundamentów. Uwaga ta nie odnosi się jednak do całego przewodnika. W wielu innych miejscach aktualizacja jest lepsza (jest np. wzmianka o pożarze kamienicy na rynku lewińskim).

Wśród tras turystycznych omówiono obok szlaków sporo tras nieznakowanych, wiodących leśnymi duktami, tak licznymi w Górach Stołowych. Opisy te są dość szczegółowe, nie na tyle jednak, by usuwały w cień stronę krajoznawczą. Wspomniano o wielu drobnych zabytkach położonych poza obrębem miejscowości. Wymienię Głaz Trzech Krzyży położony w pobliżu Błędných Skał. Autor przytacza tu romantyczną opowieść o przemytnikach złapanych w tym miejscu. Szkoda, że nie napisał o rzeczywistym znaczeniu wrytych na bloku dat

krzyża „Zabita dziewczyna” przy Pątnicznej Ścieżce (niejeden już zabłądził usiłując go odnaleźć w oparciu o mapę turystyczną). Można mieć jednak zastrzeżenia do poziomu technicznego niektórych mapek.

Wspomniałem już o tym, że przewodnik ten nie jest opracowaniem dla zaawansowanych krajoznawców, że jego celem jest raczej dostarczenie podstawowych informacji i rozbudzenie zainteresowania regionem. Jednak dobrze by było zamieszczać w takich publikacjach bogatszy spis piśmiennictwa, do którego można sięgnąć w poszukiwaniu szczegółów. Dużo miejsca to nie zajmie, a będzie pożytecznym dopełnieniem.

„Góry Stołowe” można zaliczyć do przewodników przeznaczonych dla początkujących i średniozaawansowanych turystów, którzy pragną podczas wędrowki dowiedzieć się czegoś o zwiedzanych górach, nie są jednak koneserami krajoznawstwa. Myślę, że jako publikacja typu popularnego przewodnik jest dobry (na pewno lepszy od dotychczas wydawanych) i można go polecić turyście.

Jacek Potocki

### Ma być: Szczawnik

W artykule pt. Leśniczówka na Zamczu autorstwa Adama Czarnowskiego (nr 12/93, s. 22) mylnie wydrukowano nazwę wsi: podano Szczytnik, a ma być Szczawnik. Przepraszamy.

### Kolejny przewodnik w przygotowaniu

Oficyna Wydawnicza SUDETY, kontynuując serię przewodników po Sudetach, przygotowuje tomik o Górach Opawskich. Spodziewamy się go na wiosnę.

Pod wpływem przeobrażeń społeczno-ekonomicznych w naszym kraju dokonują się zmiany w obrębie krajoznawstwa i turystyki. Mają one ilościowy i jakościowy charakter. Ich następstwa są pozytywne i negatywne. Ostatnie w większym stopniu dotknęły turystykę niż krajoznawstwo. Przykładowo, niepokoi fakt, że młodzież szkolna ma utrudniony kontakt z krajoznaw-

nowego krajoznawstwa. Ważne jest, by przekazywać je takim, jakie ono było w umysłach jego twórców. Ale trzeba to uczynić w sposób, bo było one osadzone w życiu współczesnej młodzieży i odpowiadało jej potrzebom, stawało się dla młodego pokolenia nowym świeżym orędziem, było iskrą zapalającą, wydarzeniem, które pozwala odkrywać wymiar sensu zwrotu

talnej triady: prawdy, dobra i piękna. Każda z tych wartości uszlachetnia poszczególne strony osobowości. Prawda doskonali intelekt, a dobro i piękno – odpowiednią wolę i uczucia. Poza wspomnianą triadą do wartości uniwersalnych zalicza się m.in. humanizm, zdrowie, demokrację, miłość, solidarność, godność, uczciwość i prawa człowieka, dobra wspólne, pracę, honor, wol-

## WIĘCEJ TURYSTYKI I KRAJOZNAWSTWA DLA MŁODZIEŻY (1)

stwem i turystyką. Spada gwałtownie liczba wycieczek szkolnych organizowanych przez szkoły i placówki opiekuńczo-wychowawcze. Znacznie zmniejsza się liczba kolonii, obozów stałych i wędrownych.

Ale wprawdzie uściśliśmy pojęcia występujące w tytule. Zgodnie z *Międzynarodowym Słownikiem Turystycznym*, traktujemy krajoznawstwo w sensie *opisu szczegółowego kraju bądź jego regionu lub jako wszechstronną wiedzę o kraju rodzinnym, a w szczególności o swoim regionie*. Pojęcie to jest zbieżne z poglądami Wacława Nałkowskiego, Bolesława Limanowskiego, Mieczysława Orłowicza i Gustawa Wuttke.

Współczesne krajoznawstwo – w znaczeniu poznawania ojczystego kraju w aspekcie różnych dziedzin wiedzy – zgodnie z tradycją ma służyć: utrzymaniu ciągłości kultury, kształtowaniu tożsamości, miłości do ziemi ojców, wyrabianiu cech osobowości na miarę wyzwania współczesnych czasów. Jednocześnie nie rezygnuje z przygotowywania do życia poprzez wprowadzenie kolejnych pokoleń Polaków w obiektywny, uniwersalny, według filozofii wychowania UNESCO, świat wartości.

Nie chodzi bynajmniej o głoszenie

*Poznaj swój kraj, Ojczyźnie służ*. Urasta ono do czegoś znacznie większego niż tylko dopełnienie geografii, historii, języka ojczystego czy ekonomii. Staje się swoistą filozofią myślenia i stylem życia.

Turystyka zaś stanowi całokształt zjawisk związanych z podróżą i pobytem w jakiejś miejscowości osób przyjezdnych, jeżeli nie wynika on z motywu osiedlenia się i przez to nie wiąże się z jakąkolwiek działalnością zarobkową.

W istocie turystyki tkwi ruch przemieszczania się. Stąd *przez turystykę rozumie się ogół zjawisk związanych z czasową zmianą środowiska, wynikającą z motywów poznawczych, rekreacyjnych lub ludystycznych, dokonanych w czasie wolnym od nauki i pracy*.

Z przyjętych przez nas określeń znaczeniowych wynika, że pojęcia krajoznawstwa i turystyki nie są tożsame. Istnieją obok siebie, jak dwie asymptoty. Ciągłe się zbliżają do siebie, ale nigdy nie spotykają się.

Omawiane dziedziny aktywności mają liczne aspekty filozoficzne. Zarówno krajoznawstwo, jak i turystyka w edukacji szkolnej zorientowane są na realizację wartości ogniskujących wokół transcenden-

ność, patriotyzm, pluralizm, wiarę, mądrość, odwagę, gospodarność, przedsiębiorczość, rozsądek, sprawiedliwość, sumiennność, rzetelność, pokój. W oświacie i wychowaniu istotne są także takie wartości, jak: odpowiedzialność, uznanie i przestrzeganie tolerancji, poszanowanie odmiennych opinii, miłości bliźniego, przeciwstawianie się egoizmowi i konsumpcyjnemu stosunkowi do życia, niezależność działania, otwartość na różne kultury i rasy.

W społeczeństwie demokratycznym naczelną wartością ma dobro człowieka, jego szczęście i wielostronny rozwój. Wartościom tym odpowiadają takie cele edukacji, jak uzyskanie przez obywateli możliwe wysokiego poziomu zdrowotnego oraz kwalifikacji ogólnych i zawodowych, zapewnienie im aktywnego i twórczego uczestnictwa w życiu społecznym i kulturalnym.

Z badań prowadzonych w Zakładzie Teorii Kształcenia Katedry Dydaktyki Ogólnej i Metodologii oraz na Podyplomowym Studium Kultury i Turystyki UAM w Poznaniu wynika, że krajoznawstwem i turystyką można objąć rozległe płaszczyzny działań z młodzieżą. Pozwalają one docierać do młodych ludzi, stwarzając warunki do kształtowania świadomych postaw. Postawy są stałymi składnikami osobowości. Odnoszą się do wartości, które wynikają ze stosunku do świata idei, osób, rzeczy, wytworów umysłu, serca i rąk. Są one rezultatem stosunku do:

– podstawowych idei humanistycznych (idea życia, pokoju, miłości, prawdy, sprawiedliwości, egalitaryzmu, wolności);

– siebie (skromność, obiektywizm, samoocena, pościągłość, umiar w sądach i postępowaniu, poczucie osobistej godności, odwaga, dzielność, rzetelność, pogoda ducha, optymizm);

– innych osób (miłość, sympatia, powszechna życzliwość, uprzejmość, uczynność, tolerancja, poszanowanie godności, indywidualność, pomoc w potrzebie, zapobieganie nieszczęściom, cierpieniom, współczucie, opieka nad chorymi, inwalidami, osobami niepełnosprawnymi, nieletnimi, obrona pokrzywdzonych, poczucie odpowiedzialności za podopiecznych, wykony-



Na obozie wędrownym w Górach Izerskich. Foto: L. Rugała

# TRZYDZIEŚCI LATEK NA GÓRSKICH SZLAKACH

Nie wiadomo dokładnie, ile dzisiaj jest rzeczywiście aktywnych kół PTTK w zakładach pracy. Należy się spodziewać, że ino, ino. Dlatego warto wspomnieć o jednym z nich, istniejącym, działającym i nie stojącym w miejscu. We Wrocławskim Centrum „Unitra-Dolam” koło petekowskie o numerze 186 ma już trzydzieści lat i, co więcej, jest w dobrej kondycji.

W tym miejscu należy skreślić kilka słów o historii i teraźniejszości turystów „od elektroniki”. Od początku istnienia (1963) wielką miłością darzyć zaczęto góry. Wędrówki, wyprawy, wystawy, narciarstwo to wyrazy tego uczucia. Dla potrzeb uczestników górskich wyryp założono specjalistyczną biblioteczkę (na bieżąco uzupełnianą), mini-wypożyczalnię sprzętu turystycznego i poradnię dla chętnych do podboju gór. Dochowano się własnych organizatorów turystyki, przewodników turystyki górskiej i przewodników górskich – sudeckich. Udało się zdobyć wiele odznak GOT. Można śmiało powiedzieć, że każdorazowy Zarząd Koła w propagowaniu tej odznaki spisał się na przysłowiowy medal. W kronice Koła znajduje się ciekawy zapis: *W pamięci pozostaną kuligi, wyprawy sylwestrowe do „Chaty Pod Skrzekotem” (Góry Bystrzyckie [znanej też jako „Adamówka” – red.]) i niezapomniane przeżycia uczestników ogniska słuchających relacji radiowej z lądowania pierwszego człowieka na Księżycu.*

Koło do dzisiaj posiada na terenie zakładu swoje pomieszczenie i tablicę informacyjną. Pomieszczenie wykonano własnym sumptem. W ostatnich latach udało się odbyć szereg wycieczek górskich na zasadach samofinansowania, bez funduszy z zakładu. Świadczy to dobitnie o potrzebach członków koła. Śmiało można powiedzieć, że po poznaniu gór polskich, czeskie i słowackie Tatry są przez nich w znacznym stopniu poznane. Tatry, głównie za sprawą corocznych obozów, a Sudety w oparciu o prawie „własną” bazę, m.in. w Policach nad Metuji. Obecnie koło liczy 40 członków, którzy w ub.r. zorganizowali 22 wycieczki przy 350 uczestnikach. Prezysuje dolamowskim turystom Bronisław Langsam. Z innych znanych postaci wymienić należy Marię Płatkowską, Leszka Dobrasa, Zbigniewa Szkolnickiego i Marka Żdzarskiego (to ten, co szefuje dolnośląskim przewodnikom!). Październikowe obchody trzydziestolecia, ze

względu na „naszą” polską chorobę zwaną puste kieszenie, nie mogły odbyć się w górach. Stać nas było na tanią bazę zakładową, na nizinach – w Sulowie. Obecność prezesa Oddziału Wrocławskiego PTTK Krystyna Chudoby uświetniła uroczystość. Wieczorową porą pieczono kielbaski, śpiewano, tańczono, wspomniano, odznaczano się, obdarowywano i...wzruszano. Dodać należy, że na wystrój miejsca uroczystości złożyły się fotografie wspominkowe z turystycznych tras. Jacy na nich niektórzy z nas inni, żeby nie powiedzieć – młodzil Autorem zdjęć, w nieco już mniej stosowanej technice białoczarnej, był Leszek Dobras. Udało się też wydać okolicznościowe wydawnictwo „Perłowe gody Koła PTTK nr 186” i naprawdę efektowne znaczki pamiątkowe. Z kronikarskiego obowiązku trzeba dodać, że Jubilat posiada szereg wyróżnień, w tym Złotą Honorową Odznakę Oddziału Wrocławskiego PTTK i Srebrną Honorową Odznakę PTTK. Innych medali z różnych kruszców i dyplomów nie jest się w stanie zliczyć.

To dobrze, że jeszcze takie koła PTTK mogą istnieć. Łączą ich członków różne zainteresowania, a w tym przypadku góry. Oby tak dalej!

Wojciech Radliński



Foto: Zdzisław J. Zieliński



Na Polanie Chochołowskiej

Foto: Zdzisław J. Zieliński

wanie zadań, dotrzymywanie zobowiązań, dochowywanie wierności;

– własnego narodu, państwa, kraju (umiłowanie kultury własnego narodu, jego historii, języka, duma z przynależności do wspólnoty narodowej, umiłowanie piękna ojczystego krajobrazu, polskiej ziemi, gotowość pomnażania wspólnego dobra, jego obrony, umacniania suwerenności i jedności narodu w sprawach jego bytu, rozwoju i niepodległości, kult symboli narodowych, państwowych, pomników naszej patriotycznej dumy, różne postacie patriotyzmu, lojalność wobec państwa);

– świata przyrody żywej (pomnażanie jej piękna, roli w życiu człowieka, dbałość o jej obronę, pielęgnację, rozwój);

– świata rzeczy martwych (poznawanie ich charakteru użytkowego, racjonalne i oszczędne ich użytkowanie, niedopuszczanie ich do marnotrawstwa, poszanowanie ich przynależności własnościowej);

– pracy (zamiłowanie do niej, fachowość, rzetelność, wysoka jakość, działalność i odpowiedzialność pracowników);

W działalności krajoznawczo-turystycznej kształtują się u ich uczestników wszystkie z wymienionych rodzajów postaw. Dominują z nich te, które odnoszą się do przyrody i kultury. Jest to oczywiste, ponieważ terenem penetracji krajoznawstwa i turystyki jest najczęściej otwarta przestrzeń pól, łąk, gór i lasów.

c.d.n.

Kazimierz Denek

Od Redakcji: Prof. dr hab. Kazimierz Denek, wieloletni działacz PTTK i PTSM, jest kierownikiem Zakładu Dydaktyki Ogólnej w Instytucie Pedagogiki UAM w Poznaniu. Specjalizuje się w edukacyjnych aspektach turystyki i krajoznawstwa.

# NA SZLAKU

## z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

### PRZODOWNICY TURYSTYKI GÓRSKIEJ

#### KOLEŻANKI I KOLEDZY !

Komisja Turystyki Górskiej przystąpiła do komputeryzacji kartoteki przodowników. Stwierdziliśmy przy tej okazji, że baza danych, którą dysponujemy, jest bardzo zdezaktualizowana i uboga w treść.

W ostatnich latach zaszły ogromne zmiany w strukturze organizacyjnej naszego Towarzystwa, w wielu miejscowościach przeprowadzono też zmiany nazw ulic. Nie jesteśmy więc pewni nawet Waszych adresów, potwierdza to zresztą rosnąca liczba zwrotów dorocznej *Informacji dla PTG*. Trudno nam jest też występować z wnioskami o odznaczenia i wyróżnienia, bowiem nie dysponujemy dostatecznymi danymi osobowymi kandydatów.

Dlatego też zwracamy się z apelem do wszystkich Przodowników Turystyki Górskiej, aby zechcieli nadesłać na adres KTG ZG w Krakowie uzupełnienie do ankiety zawierające następujące dane:

1. Data i miejsce urodzenia,
2. Aktualny adres i telefon,
3. Zawód,
4. Przynależność do PTTK (nazwa macierzystego oddziału),
5. Działalność w PTTK (okres i funkcja),
6. Działalność górską w PTTK (okres i funkcja),
7. Posiadane odznaczenia (rok otrzymania i rodzaj).

Apel ten zamieścimy również w najbliższej *Informacji dla PTG*, ale prosimy wszystkie Koleżanki i Kolegów, do których dotrze, aby zechcieli informować o jego treści wszystkich znanych sobie Przodowników TG i apelować o odzew. Prosimy także o ewentualne uzupełnienie informacji kierowanej do KTG ZG własnymi przemyśleniami na temat stanu i potrzeb turystyki górskiej, szczególnie dotyczącymi zauważonych nieprawidłowości w funkcjonowaniu GOT, schronisk i szlaków.

Bylibyśmy też wdzięczni za załączenie koperty ze znaczkami pocztowymi na wysyłkę najbliższej *Informacji dla PTG*. Nie ukrywamy, że bardzo liczymy na odzew ze strony wszystkich Koleżanek i Kolegów. Mamy nadzieję, że pozwoli to nam ocenić rzeczywisty stan ilościowy kadry. Będziemy też mogli na tej podstawie podjąć działania organizacyjne w stosunku do tych osób, z którymi od lat straciliśmy już kontakt.

Powstawanie kolejnych szlaków w górach nigdy nie było niczym nowym. KTG ZG PTTK od niepamiętnych czasów musiała stawiać czoła (i nic się do dziś w tym względzie nie zmieniło) cią-

dalej na Wielką Rawkę, czyli do miejsca swojego dalszego i poprzedniego przebiegu do Ustrzyk Górnych. Turyści mogą napawać się urokiem wspaniałego i prawdziwie dzikiego odcinka między

### NOWE SZLAKI TURYSTYCZNE W BIESZCZADACH

lej presji różnych środowisk, racji, okazjonalnych sytuacji – w ramach których zawsze starano się udowodnić, gdzie jeszcze w górach należy wytyczyć nowy szlak. Jednak zmiany, o których komunikują niżej, były naprawdę potrzebne i w pełni uzasadnione. Obrazują one bowiem nowe czasy. Mam tu na myśli z jednej strony korzystnie rozwijającą się współpracę PTTK z Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym, a po wtóre – bardzo dobre stosunki bieszczadzkich oddziałów PTTK (a więc Ustrzyk Dolnych i Leska) ze Strażą Graniczną w Lutówkach, Wetlinie i Cisnej.

To, co do niedawna wydawało się zupełnym niepodobieństwem – dziś jest już rzeczywistością. Ilekroć to lat plecakowi turyści, z wielkimi trudnościami albo wręcz „na dziko”, przekradali się z Wielkiej Rawki na wierzchołek Krzemieńca (1221 m), aby chociaż jeden raz postawić stopę w magicznym i jedynym w naszych górach miejscu, gdzie stykają się granice trzech państw – aktualnie – Polski, Słowacji i Ukrainy.

Teraz na Krzemieniec można już chodzić bez ograniczeń, a co ważniejsze – za znakowanym szlakiem. Cała sieć znakowanych ścieżek w otoczeniu Rabej Skály (1199 m), Wetliny, Działu (1136 m), Wielkiej Rawki (1303 m) i wspomnianego już Krzemieńca – została uporządkowana, zdaniem moim, z korzyścią dla plecakowych turystów bardzo znaczną. Co więc się zmieniło?

Długodystansowy graniczny szlak niebieski Grybów – Ustrzyki Dolne, wiodący od strony Beskidu Niskiego i Przeł. Łupkowskiej na Rabią Skalę, został stąd – za zgodą Bieszczadzkiego Parku Narodowego i Dowództwa Straży Granicznej – przedłużony granicą państwa przez Borsuk (1000 m), Czerteż (1071 m) i Kamienną (1199 m) na Krzemieniec, skąd

Krzemieńcem i Rabią Skalą, a Oddział PTTK w Lesku – jako jedyny w naszym Towarzystwie, posiada 2,5 km szlaku granicznego z Ukrainą.

Kolejną zmianą, stanowiącą konsekwencję poprzedniej, jest połączenie Wielkiej i Małej Rawki krótkim łącznikowym szlakiem w kolorze żółtym do miejsca, gdzie od strony Przeł. pod Wyżniańskim Wierchem i baczki PTTK dołącza do wspomnianego szlaku żółtego – szlak zielony.

Kolor przepięknego letniego dościa i równocześnie narciarskiego zjazdu z Małej Rawki przez Dział do Wetliny zmieniono z niebieskiego na zielony, przedłużając równocześnie szlak zielony z samej Wetliny na szczyt Jawornika (1022 m) (to odcinek całkiem nowy), gdzie dołącza on do znaków żółtych Wetlina – Rabią Skalę przez Paprotną.

W uzupełnieniu trzeba dodać, że odcinek szlaku niebieskiego z Rabej Skály, a ściślej – z Czoła (1159 m), przez Moczarne do Wetliny skasowano i przestał on istnieć.

Dla chętnych poznania nowych odcinków przejść podaję ich długości i czasy:

– szlak niebieski: Wielka Rawka – Krzemieniec – Rabią Skalę – 14 km, czas w obydwu kierunkach 5 1/2 godz.,

– szlak żółty: Wielka Rawka – Mała Rawka – 1 km – w obie strony 15 min.,

– szlak zielony: Mała Rawka – Dział – Wetlina – Jawornik – 15 km – czas 3 1/2 – 4 1/4 godz.

Wszystkie prace w terenie nad podanymi zmianami przeprowadził w sposób wysoce technicznie i merytorycznie profesjonalny, reprezentujący Oddział PTTK w Ustrzykach Dolnych, Franciszek Adamczyk.

Andrzej Matuszczyk

## Zmiany sieci szlaków w Sudetach w latach 1991-1993

1. Wyznakowano nowy szlak niebieski: Leśna – Bożkowice – zamek Rajsko – Jez. Złotnickie (ośrodek Elektrowni „Turów”), ok. 12 km,

2. Przemalowano z czarnego na czerwony szlak: Czarniawa-Zdrój – Pobiedna, ok. 3 km,

3. Wyznakowano nowy szlak czerwony: Pobiedna – Wolimierz – Giebułtów – Augustów – Złotniki Lubańskie – Jez. Złotnickie (ośrodek Elektrowni „Turów”), ok. 13 km,

4. Przemalowano z czarnego na czerwony szlak: Jez. Złotnickie (ośrodek Elektrowni „Turów”) – Karłowice – Biedrzychowice, ok. 7 km,

5. Wyznakowano nowy szlak zielony: Pobiedna – Gieraltówek – Czarniawska Kopa – Smrek – Łącznik – Stóg Izerski – schr. PTTK „Na Stogu Izerskim”, ok. 14 km,

6. Wyznakowano nowy szlak żółty: Rozdroże Izerskie – Ciemny Wądół – Rębiszów, ok. 15 km,

7. Wyznakowano nowy szlak czerwony: Izerska Hala – Orle – Przeł. Szklarska, ok. 9 km,

8. Wyznakowano nowy szlak czerwony: Mokre Rozdroże – schr. PTTK „Pod Łab-

skim Szczytem” – Niedźwiada – Rozdroże pod Wielkim Szczytem, ok. 5 km,

9. Wyznakowano nowy szlak zielony: Rozdroże pod Kamieńczykiem – stacja pośrednia wyciągu na Szrenicę, ok. 2 km,

10. Przemalowano z czarnego na zielony szlak: stacja pośrednia wyciągu na Szrenicę – Stara Droga, ok. 1 km,

11. Zmieniono przebieg szlaku żółtego na odcinku Borowy Jar – Jelenia Góra, ok. 2 km,

12. Skasowano szlak zielony: przeł. Okraj – Rozdroże pod Sulicą, ok. 2 km,

13. Wyznaczono nowy szlak zielony: Okraj – Rozdroże pod Łysociną – Czepiel – Przeł. Lubawska – Szeroka – Bogoria – Okrzeszyn – Uniemiśl – Zielonka – Łączna – Mieroszowskie Ściany – Golińsk – Płoniec – Głuszycka Przełęcz – Leszczyniec – Głowy – Tłumaczów, ok. 80 km,

14. Wyznaczono nowy szlak żółty: Rozdroże pod Łysociną – schr. PTTK „Srebrny Potok” w Jarkowicach, ok. 4 km,

15. Wyznakowano nowy szlak żółty: Chelmsko Śląskie – szlak zielony, ok. 2 km,

16. Skasowano szlak żółty: Strużnickie Skąły – Starościńskie Skąły, ok. 2 km,

17. Wyznakowano nowy szlak żółty: w Wąwozie Pełcznicy koło Książa, ok. 1 km,

18. Wyznakowano nowy szlak żółty: Golińsk (przejście graniczne) – Mieroszów – Lesista Wielka – Lesista Mała – Unisław Śląski, ok. 13 km,

19. Wyznakowano nowy szlak żółty: schr. PTTK „Andrzejówka” – Skalna Brama, ok. 4 km,

20. Wyznakowano nowy szlak żółty: Głuszycka Przełęcz – Głuszyca Górna, ok. 4 km,

21. Wyznakowano nowy szlak niebieski: Tłumaczów (przejście graniczne) – Tłumaczów, przystanek PKS przy szlaku żółtym, ok. 1,5 km,

22. Skasowano szlak żółty dokoła fortów w Srebrnej Górze, ok. 2 km,

23. Zmieniono przebieg szlaku czerwonego w rejonie fortów w Srebrnej Górze, ok. 2 km,

24. Wyznakowano nowy szlak zielony: Niemojów – Lesica – Graniczny Wierch – Przeł. Międzyłeska – Opacz, ok. 21 km,

25. Wyznakowano nowy szlak czerwony: granica państwa – Kamieńczyk – Międzyłesie, ok. 5 km,

26. Przemalowano z zielonego na czerwony szlak: Międzyłesie – Sikornik – Płisary – Opacz, ok. 7 km,

27. Skasowano szlak żółty: Trójmorski Wierch – Przeł. pod Puchaczem, ok. 2 km.

Delegatura Sudecka KTG ZG PTTK

## STULECIE ZORGANIZOWANEJ TURYSTYKI W PIENINACH

Sto lat temu, 26 lipca 1893 roku, właściciel Czorsztyna, Stanisław Drohojowski, zwołał w czytelni Zakładu Górnego Walne Zebranie Członków Towarzystwa Tatrzańskiego, z zamiarem powołania oddziału pieniężnego w Szczawnicy.

W ten oto sposób powstał czwarty wówczas oddział tegoż Towarzystwa, po oddziałach wschodniokarpaccich: stanisławowskim (1876), czarnoehorskim w Kołomyi (1878) i lwowskim (1883). Pierwszym prezesem wybrany został wielce szanowany lekarz uzdrowiskowy, dr Władysław Ściborowski, przebywający w Szczawnicy od 1866 roku, notabene autor dość popularnych wówczas publikacji: *Przewodnika do źródeł lecarskich w Szczawnicy* (1877) i *Szczawnica – zakład zdrojowo-kąpielowy i klimatyczny* (1893).

Oddział Pieniński PTTK w Szczawnicy, spadkobierca idei Towarzystwa Tatrzańskiego, obchodził niecodzienną uroczystość – rocznicę stu lat swego istnienia. Obchody odbyły się w dniach 8-10 października 1993 roku. Przygotował je komitet pod przewodnictwem prezesa Oddziału mgra Stanisława Urbana.

Ostatnie pięćdziesiąt lat Oddziału szczawnickiego było bardzo pracowite. Do rzadkości należy, aby mały oddział wykonał prace tak ważne dla turystyki górskiej: otworzył Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej PTTK w Pieninach i zbudował schronisko na Bereńniku.

Działacze Oddziału przygotowali się rzetelnie do obchodów rocznicy. Program uroczystości był bogaty i napięty, połączono go też z wojewódzkimi obchodami „Światowego Dnia Turystyki”.

Rozpoczęło się 8 października. Do schroniska „Orlica” zjechali się przedstawiciele Karpacciego Forum Oddziałów PTTK, członkowie Prezydium ZG PTTK i Komisji Turystyki Górskiej. Spotkanie prowadził Władysław Stendera – prezes karpaccich oddziałów i Adam Chyżewski – prezes PTTK. Omawiano sprawy związane z aktualną sytuacją w PTTK, zapoznano się z działalnością KTG i bieżącą problematyką przewodnictwa górskiego.

W dniu 9 października odśpiewano na budynku BORT pamiątkową tablicę odlaną specjalnie na tę uroczystość, na starym cmentarzu złożono kwiaty pod mauzoleum Józefa Szalaya, twórcy uzdrowiska szczawnickiego i chyba też Towarzystwa Tatrzańskiego.

W sali DW „Górnik” odbyła się uroczysta sesja Rady Miasta z udziałem władz państwowych, wojewódzkich, miejskich i PTTK. Podczas niej wręczono odznaczenia i wyróżnienia – państwowe i PTTK, zasłużonym działaczom. Po południu na górnej stacji kolejki linowej na Palenicę wręczono adeptom kursu przewodnickiego legitymacje i „blachy”.

W ostatnim dniu uroczystości – 10 października w niedzielę, w zabytkowej kaplicy szalayowskiej w Parku Górnym, odprawiono uroczystą mszę i poświęcono dzwon ufundowany przez Oddział. Dokonał tego ks. bp Piotr Bednarczyk. Po południu natomiast organizatorzy w schronisku na Bereńniku zorganizowali sesję historyczną poświęconą stuleciu Oddziału. Dla gości i kuracjuszy przewidziano imprezy towarzyszące, m.in. w pijalni „Stefan i Józefina” przy pl. Dietla zorganizowano wystawę helio-

grawur Józefa Szalaya przygotowaną przez Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej z Krakowa i Ośrodek KTG w Pieninach. Oddział sponsorował też specjalnie na tę okazję wydany przez Ośrodek KTG w Pieninach piąty tom „Prac Pienińskich”.

Piękną uroczystość nie była pozbawiona akcentów smutnych. Działacze z Krościenka odmówili udziału w uroczystościach, obrażając się za niedopuszczenie ich do współorganizacji imprezy. Taką przyczynę podano. Trudno w tej chwili coś więcej na ten temat pisać, ale sam fakt ich nieobecności „okroiło” niejako to święto o jeden z elementów. Na szczęście, incydent ten ma tylko lokalny charakter i na zewnątrz pozostaje niezauważany.

Martwi mnie jednak inny incydent, tak! – zaliczam to do incydentu. Równoległe z uroczystościami w Szczawnicy, które notabene można by traktować jako stulecie Towarzystwa Tatrzańskiego w Pieninach, w Tatrach w schronisku na Hali Gąsienicowej obchodzono 120-lecie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Odrodzone PTT powstało na fali solidarnościowej i PTTK – połączone na innej fali z PTT i PTK – mają te same korzenie i dlatego, zadając sobie to pytanie, obchody te musiały odbyć się w tym samym terminie, obok siebie, jakby konkurencyjnie. Czyżby nawet ludzie gór nie potrafili się ze sobą wcześniej dogadać? Żle to świadczy o władzach obu Towarzystw.

Może następne pokolenia będą mądrzejsze, może następne święto Pienin połączy miejscowych działaczy i złączy interesy obu Towarzystw, bo z uczestników tych uroczystości już nikt nie doczeka drugiej setki. Po nas wszystkich pozostaną tylko góry i gdybyśmy to sobie uświadomili, to byłoby mniej tych wątpliwych nieporozumień, a więcej roztropności w działaniu.

Ryszard M. Remiszewski

Moje spotkanie z Dolomitami było zupełnie przypadkowe. Wakacyjny wyjazd do końca stał pod znakiem zapytania, głównie ze względu na obfitość naszych pomysłów: najpierw Kaukaz, potem Alpy Francuskie, a na dwa tygodnie przed wyjazdem, Cortina d' Ampezzo. Wiedziałam tylko, że Cortina to włoskie Zakopane położone u stóp masywu Cristallo i Pomagagnon, a Dolomity to po prostu Alpy Wschodnie. Po dwudniowej koszarnej podróży w temperaturze plus 40° docieramy na miejsce. Wrażenie niesamowite. Prosto z asfaltowej drogi wyrzylają pionowe ściany. Mój zwrok przykuwa piękna, majestatyczna Punta Fiammes, którą można prawie dotknąć z okien naszego autobusu. Rozbijamy namioty na kamienistej plaży rzeki T. Boite. Nazajutrz, po rozpakowaniu całego sprzętu, rozglądamy się dookoła i przytłacza nas ogrom tych ścian, które, zdaje się, tylko czekają na dotknięcie naszych stóp i dłoni.

Na początek wybieramy najbliższą *via ferratę* (skalna, ubezpieczona droga) Ettore Bovenno na Col Rosę (2166 m). Z mieszanymi uczuciami po raz pierwszy zakładam uprząż i wpinam się w linę. Już od pierwszej chwili nie czuję sympatii do kasku spoczywającego na mojej głowie. Upał jest okropny, wspinaczka przyjemna, a ja na szczycie tak zajęta fotografowaniem, że nie zauważam nawet poobdzieranych własnych kolan.

Nazajutrz przychodzi kolej na masyw Pomagagnon i *ferratę* Michelli na Punta Fiammes. Droga jest bardziej eksponowana i dłuższa niż na Col Rosę. W czasie wspinaczki udaje mi się zrobić kilka efektownych zdjęć. Już wkrótce siedzimy na Croda Pomagagnon i jesteśmy wzruszeni otaczającym krajobrazem. Swoje piękno ukazują Tofany, masyw Sorapis, Cristallo, a w dole, 1000 m pod nami, mającą kolorowe punkciki naszych namiotów. Wracamy po ośmiu godzinach wykończeniu upałem i pragnieniem. Fundujemy sobie masochistyczną kąpiel w rzece, potem pyszną kolację, i w kimono.

Następnego dnia w ramach odpoczynku wybieramy się nad Lago Cedina. Znad pięknie położonego leśnego jeziora podziwiamy wyrastające ponad modrzewie żółte ściany Dolomitów. Szybko postanawiamy iść na przełęcz Ra Valles, na spotkanie z pięknymi Tofanami. Nareszcie znajdujemy się w środku gór, skąd widać tylko zalane słońcem szczyty i przedziwne kształty chmur na tle lazurowego nieba. Żadnej cywilizacji. Stoimy na przełęczy i patrzymy na spadający w dół żleb. To będzie nasze pierwsze zejście piargiem o dużym stopniu nachylenia. Początkowo ruchy, paraliżowane strachem, są sztywne i ostrożne. Jednak chwila wprawy wystarcza, żeby płynąć razem z kamolami. Schodzimy

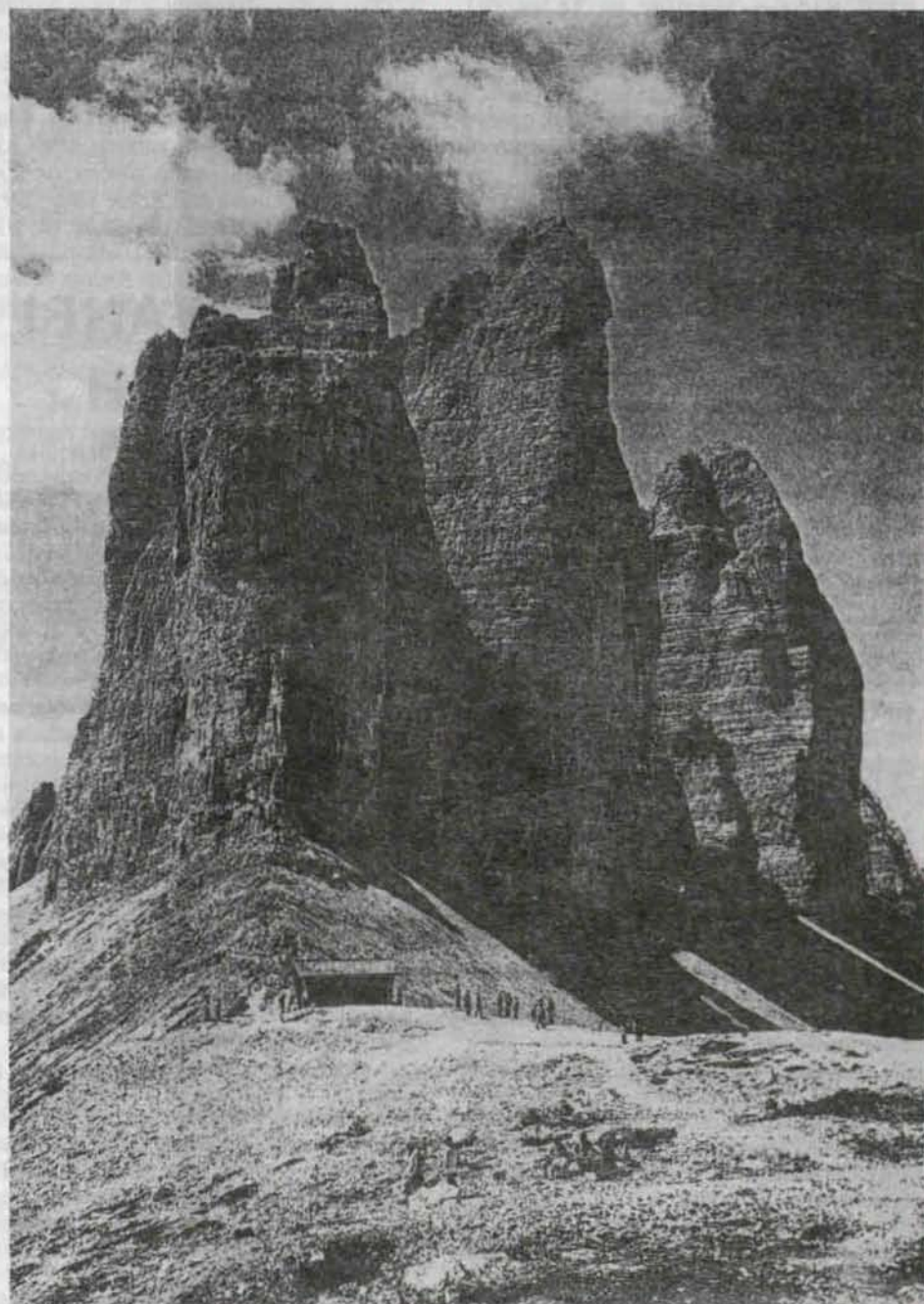
wszyscy do Cortiny i postanawiamy trochę zaszaleć. Jesteśmy zmęczeni, a pragnienie odbiera nam ochotę do życia. Odpowiednia dawka kofeiny zawarta w puszcze coli stawia nas szybko na nogi. Teraz możemy iść na włoską pizzę z szynką, którą zaprawiamy jeszcze ciastkiem z malinami i nektarynami. Tak odżywni wracamy stopem do bazy.

Kolejny dzień słońca i kolejny masyw zaprasza w swą dolinę, już od progu ukazując majestatyczną Vallon Bianco. Tym razem wybieramy się w Fanes. Nie jestem zachwycona ciężarem mojego trzydniowego plecaka, ponieważ mam świadomość, że do *bivacco della Pace* pod Monte Castello jest 1700 m podejścia. Tego

dnia daje mi się ono wyjątkowo we znaki, a wszystko przez ten upał. Po kilku godzinach robimy postój. Czas coś zjeść. Posiłek na 2200 m przy plus 50° oznacza dużą ilość wody z Visolvitem i trochę suszonych owoców. Dopiero po zrzuceniu tego zniechęconego plecaka rozglądam się dookoła. Dolina jest przepiękna, zamknięta ze wszystkich stron górami. Podziwiamy Vallon Bianco, Cunturine Zahn i tyrolską grupę Kreuzkofel, której szczyty zdają się być obsypane złotym żwirem.

Daleko na horyzoncie majączy Monte Castello i niewidoczne jeszcze u jego stóp *bivacco*. To nie działa budująco na moją psychę. Ale Val Grande Fanes Alpe to istny

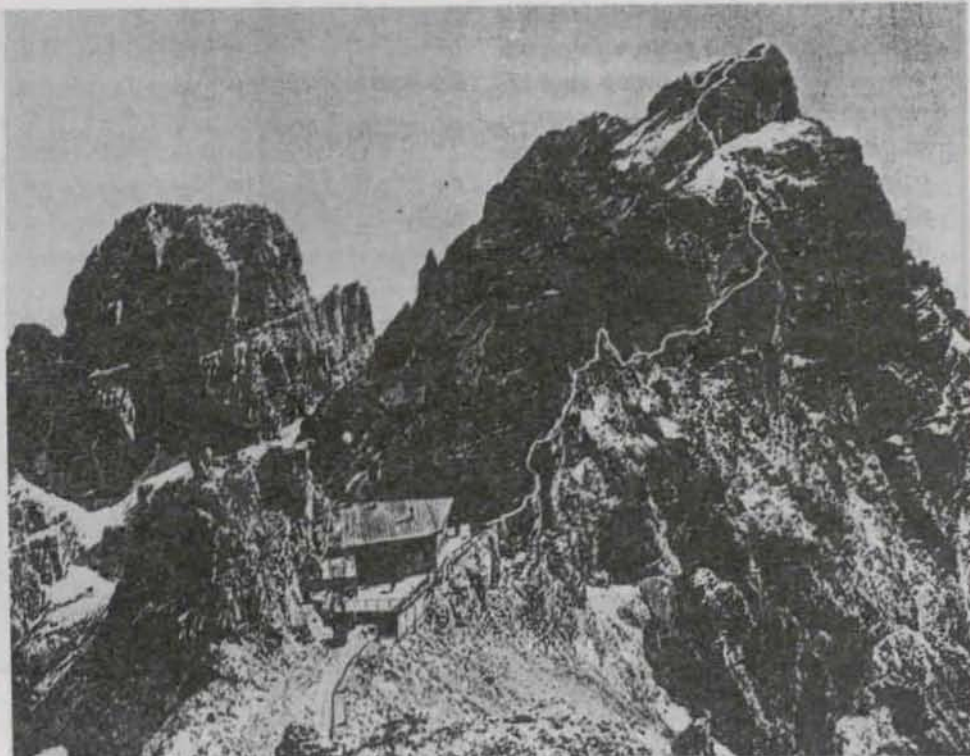
## SALVE DOLOMITI



Tre Cime di Lavaredo. Foto: E.G.

cud natury. Zachwycać się tu można każdym błyszczącym w słońcu kamieniem. Leżąc na alpejskiej łące, podziwiam nasłonecznione szczyty i wsłuchuję się w dźwięk dzwonek stada krów, idealnie wkomponowany w górską ciszę. W takiej chwili nie pragnie się niczego więcej. Późnym popołudniem docieramy do *bivacco*. Po doprowadzeniu się do jako takiego wyglądu spożywamy romantyczną kolację przy świecach, a w chwilę potem jesteśmy świadkami burzy gradowej towarzyszącej zachodzącemu słońcu. Wszystko dookoła przybiera delikatną, różową barwę, a echa wyładowań atmosferycznych, wędrujące po pionowych ścianach, tworzą atmosferę grozy. Nazajutrz jakas nieczysta siła każe nam wstać na wschód słońca. Zmarznięci, niewyspani obserwujemy czerwieniącą tunę nad poszarpanym horyzontem. W dolinie Travenanses śpią jeszcze mgły, a my wpatrujemy się w morze szczytów o różnych odcieniach brązu i granatu. W chwili pojawienia się słonecznej kuli zapiera nam dech. Więc tak budzi się dzień... Czy istnieje piękniejsza rzecz na świecie niż widok wstającego słońca...? Ostudzeni po emocjach poranka wcinamy kaskę bananową i wyruszamy na Vallon Bianco. Na górnym trawersie zakładamy uprząż, kask i wpinamy się w linę. Na szczycie ogarnia nas niekończące się morze gór aż po Wysokie Taury z ośnieżonym Grossglocknerem. Na lewo od Glocka Królowa Dolomitów, Marmolada, a najbliższe nas, oddzielone wąwozem doliny Travenanses, stoją dumne piramidy Tofan (T. di Mezzo, T. di Rozes, T. di Dendro). Jakże łatwo tu, w tej chwili, zrozumieć słowa niewidomego Jose: (...) *Boże mój! Dopiero w górach zakosztowałem, czym jest dar wolności.* Tego dnia przeszliśmy jeszcze grań Furcia Rossa, wróciliśmy do della Pace po plecaki i zeszlismy na dno doliny na biwak. Była to jedna z piękniejszych nocy pod włoskim niebem. Wstajemy wcześniej, pozbywamy się części sprzętu biwakowego i ruszamy na dwa trzytysięczniki: Cunturines (3064 m) i La Verellę (3055 m). Jeszcze nigdy w górach przez tyle dni z rzędu nie było tak cudownej pogody. Ze szczytu La Varelli podziwiamy Wysokie Taury, grupę Sella, Le Pale di San Martino, a także istną mozaikę osadowego dolomitu, który tworzy kalejdoskopowe figury. Na bazę docieramy już po zmroku. Jesteśmy wyczerpani tymi trzema obfitymi dniami.

Po krótkim odpoczynku wybieramy się na dwudniową wycieczkę w masyw Cristallo. Pierwszego dnia chcemy podejść *via ferrata* Ivano di Bona do *bivacco* Buffa di Perero, następnie wejść na Cristallino d'Ampezzo (3008 m) i Cristallo d'Mezzo (3154 m) i zejść tego samego dnia do bazy. Na Cristallo d'Mezzo pokonujemy naszą najtrudniejszą drogę skalną, *ferrate C* z dwoma przewieszkami. Może dla profesjonalnego wspinacza to kupa śmiechu, ale



Droga na Cristallo d'Mezzo. Foto: E.G.

pierwszy raz w życiu czując skałę odchyloną od pionu okropnie się bałam, że runę w dół. W drodze powrotnej nieszczęśliwie wykręciłam kolano, także marsz najpierw stromymi piargami, a potem Val Grande Padeon kojarzy mi się tylko z bólem nogi. Do bazy docieramy dopiero po dwudziestej pierwszej, strasznie sponiewierani, głodni, spragnieni, ale... szczęśliwi.

Następnego dnia planowaliśmy wyjść na trzy dni w Sorapis, lecz już wieczorem wiadomo było, że rano nikt nie wstanie. Kiedyś trzeba się przecież wyspać, no i... umyć. I tak bazę opuściliśmy dopiero po piętnastej. Tego dnia chcieliśmy tylko dojść nad Lago Sorapis i przebiwakować powyżej zagospodarowanego schroniska w niszach skalnych. Na trawersie prowadzącym nad jezioro obserwowaliśmy na tle zachodzącego słońca piękne Tre Cime di Lavaredo, symbol Dolomitów. Jezioro w kolorze pistacjowym, otoczone z trzech stron górami, jest urzekające. Wczesnie rano podeszliśmy pod ścianę, którą miała przebiegać *via ferrata* Alfonsa Vandellego. Długo wpatrywaliśmy się w skalny mur, nie widząc koncepcji przejścia. W końcu dostrzegamy w środku ściany pęknięcie biegnące najpierw pionowo w górę, potem przechodzące w trawers. Po chwili namysłu rozpoczęliśmy prawie sześciogodzinną wspinaczkę kominkami, półkami, zachodzikami, a wszystko to w kilometrowej ekspozycji. Jeszcze teraz dostaję zawrotu głowy na wspomnienie piargu majającego głęboko pod mną. Asekuracja daje niesamowity komfort psychiczny, ale ostatni odcinek był nieubezpieczony, zaś skała pokryta drobnym piarżkiem. Odetchnęliśmy dopiero na szczycie. Pogoda w dalszym ciągu przepiękna, granatowe niebo nasycone

słońcem i w tym wszystkim wspaniała cisza. Widok na grupę Marmarolle dopełnia reszty wrażeń. Widoki... cóż, każdy przeżywa je na swój sposób, ale trudno się uwolnić od wzruszenia. Jeżeli ktoś kocha góry, to znaczy, że natura obdarzyła go niemalże zmysłowym poczuciem piękna. Zejście do *bivacco* Comici było łatwe. Dzisiejszego wieczoru pragnienie musieliśmy zaspokoić korzystając z wiosennego płatu śniegu. Niestety, najbardziej uciążliwą rzeczą w Dolomitach jest ciągły deficyt wody. Ostatnie doświadczenie, jakiego doznaliśmy w tych słonecznych górach, to zejście do doliny San Vito, pionową, miejscami przewieszoną kosową. Pierwszy raz byłam zmuszona wpiąć karabinki w konary karłowatych drzewek, żeby ująć z życiem. Po zejściu dziewięciuset metrów w dół byliśmy pokryci centymetrową warstwą kurzu. Teraz każdemu marzy się tyk wody z zaznaczonej na mapie rzeki. Okazuje się, że to tylko wyschnięte olbrzymie koryto, którym kiedyś może płynęła woda. Po dotarciu do asfaltowej drogi i przeszło trzygodzinnym czekaniu na stopa do Cortiny już prawie zwątpiliśmy, że Włosi to naród chrześcijański. Wreszcie docieramy do miasta, w pierwszym napotkanym sklepie zaspokajamy pragnienie i całkiem zadowolony z minionego dnia wracamy do bazy. Teraz każdemu marzy się kąpiel i ciepła kolacja. Po wieczornym obżarstwie spotykamy się przy symbolicznym ognisku i podziwiając pełnię księżyca wypijamy prawdziwego włoskiego szampana, zagryzając nektarynami. Taka noc zdarza się tylko raz..., a jutro przecież wracamy do domu!

Ewa Gnacik

Było to kilka lat po wojnie. Nikomu się nawet nie śniło o zakazach wstępu do lasu. Wędrowało się i biwakowało wszędzie, aby tylko uszanować młodniki. Ulubionym sposobem było unikanie ścieżek i chodzenie na azymut. W dzikich zakątkach, gdzie diabeł mówił dobranoc, szukaliśmy turystycznej przygody odkrywając różne dziwy. Dziś trudno uwierzyć, jak inne od współczesnych były to wyprawy, jak ciężkie dźwigaliśmy wyposażenie.

Wzdłuż bystrego potoku dotarliśmy prawie do początku doliny. Wokół rosły wiekowe, rozłożyste buki. Bliżej wznosiła się stroma ściana skalna, spod której trys-

krzewami i znaleźliśmy się na ścieżce. Był to już grzbiet Kotylniczego Wierchu i wychodziliśmy na dobrze nam znaną polanę Bukową.

– A pamiętacie nasze przedwojenne, narciarskie przygody? – odezwał się nasz przewodnik jakimś podejrzanym miękkim głosem. – Ale teraz już nic nie gadać! – dorzucił twardo.

Resztki dziennego światła kładły się czerwienią na trawach i jagodziskach. Krążyliśmy trochę, żeby usadowić się w dobrym widokowo, lecz nieco osłoniętym miejscu. Było bezwietrznie, ciepło i sucho, zupełnie inaczej, jak w naszej wilgotnej dolince. Zaczęliśmy skubać rosnące obficie borówki.

## Dawniej w Beskidach (2)

# W głuszy pod Jaworzyną

kało źródelko. Łączka, obramowana pióropuszcami paproci i kępą dzwonek, zapraszała na biwak. Rozbiliśmy dwa namioty, bazę dla naszej szóstki. Był piękny wrzesień. Liczyliśmy szczególnie na spotkania ze zwierzętami. Może trafi się rykowisko?

Wypoczywaliśmy przy ognisku. Jurek przygotował obiad, a wreszcie zmożył nas sen.

Przed wieczorem ktoś nas nagle obudził. Zerwaliśmy się, zaskoczeni oprócz mnie, gdyż byłem sprawcą tego spotkania.

– Tadeusz! – krzyknął Jurek – *czas nie odmienił twej zawadiackiej gęby!*

Istotnie, przybyłym był Tadeusz, znany przez paru z nas w latach młodości, a teraz leśniczy z białego domku na Zazamczu w Muszynie. Tak, jak dawniej, szeroko się uśmiechnął mówiąc:

– *A to dla was, żebyście nie zgłodnieli.*

I wysypał z plecaka stos ziemniaków. Swoim też zwyczajem zaraz przystąpił do rzeczy:

– *Musimy jednak już ruszać. Jelenie porykują. Czas zająć dogodne stanowiska. Możemy iść wszyscy, tutaj nikt nic nie ruszy. No, na wszelki wypadek ten szylczyk na namioty.*

Odczytaliśmy: *Własność Leśnictwa w Muszynie.*

Stąpaliśmy po grubym dywanie starych, bukowych liści. W lesie panował głęboki mrok. Tadeusz przycisnął się obok rozpadlin skalnych, zanurkował między

Wracaliśmy tą samą ścieżką. Z daleka, gdzieś pod Runkiem, zaczęły się nasilać nowe porykiwania.

– *To będzie trwać do rana* – stwierdził Tadeusz. – *Ale mam dla was na jutro zadanie. Na Kotylnicznym, w lesie, są szerzej nie znane skałki. Warto zrobić zdjęcia, pomierzyć.*

Zeszliśmy w dolinę. Namioty stały nienaruszone. Zapaliłem prymus i wkrótce była herbata. Znikały pajdy chleba z serem. Paweł rozniecił ognisko, a Tadeusz snuł opowiadania.

– *Pamiętam, że parę lat temu znaleziono w pobliżu, splecione rogami, martwe jelenie. Innym razem gajowy odkrył szczątki sarny, resztki z wilczej uczty. O tutejszych zwierzętach można by opowiadać bez końca, ale na mnie już czas. Jest dobrze po północy, a jutro... przecież dzisiaj mam naradę w Sączu. Przyjdę nazajutrz wieczorem. Dobranoc. A radzę dobrze pilnować ogniska, bo zjedzą was wilki!*

\*

Wyjrzało już słońce, gdy wyskoczyłem z namiotu. Paweł siedział przy ogniu, reszta jeszcze spała. Orzeźwiłem się w lodowatej wodzie, pogrzałem trochę przy ognisku i poszedłem na poranny spacer w dół potoku. Po chwili ujrzałem liczne ślady zwierząt. Tu był wodopój. Za zakrętem natknąłem się na sarnę, która spojrzała spokojnie, lecz zaraz spłoszył ją trzask migawki aparatu. Wyżej, na stoku, istne cuda! Trawy i krzewy oplecione siatkami pajęczyn jakby z kropel rosy. Na listkach lśni w słońcu żywe srebro kropel. Będzie pogoda! Poletko jagód skusiło mnie do witaminowej zakąski, lecz żołądek upomniał się o właściwą strawę. Moi towarzysze już o to zadbali.



Skały na Kotylnicznym Wierchu w Beskidzie Sądeckim. Foto: Adam Czarnowski



W pobliżu wodopaju – w dolinie Szczawnika w Beskidzie Sądeckim. Foto: Adam Czarnowski

Gdy wróciłem, dymiła gorąca owsianka, Jurek pracowicie rozrabił mleko w proszku, a Jasio otwierał puszkę z paszтетem.

Po zarwanej nocy wyruszyliśmy późno. Cel: skałki, o których mówił Tadeusz. Może to górna część grzędy, której szczątki mijaliśmy w nocy? A więc prosto do góry, obok rozpadlin i na grzbiet. Między młodymi drzewami płątały się nibyscieżki i zarośnięte dróżki; były też ślady po dawnych, łemkowskich szałasach, skarłowaciałe jałowce, a między nimi odradzał się las bukowy. Przeszukiwaliśmy Kotylniczy Wierch od południa i znów ku szczytowi. – *Sq!* – Dopisało mi dziś szczęście, a może tak zwany nos!

Wśród młodych buków sterczały dwie pochylone ambony skalne przedzielone szczeliną. Górą klasyczne czapy. Dobrze widoczne warstwy piaskowca, zwiertrzałe, o białej barwie, podobne do wapienia. Mierzymy wysokość: trzy metry. Fotografować trudno: drzewa i cień, ale trzeba.

Pobuszowaliśmy wśród krzewinek jagód i borówek i zeszliliśmy do obozowiska. Wrzała grochówka na wędzonce, piekły się ziemniaki, a potem zaśpiewaliśmy tradycyjnie: „Płonie ognisko...”

– *No, Adam* – odezwał się Jasio – *Chyba zaspokoites już swoje krajoznawcze ciągoty?*

– *Poczekaj! Jutro obiecuję wam lepszą szkołę na Jaworzynie.*

\*

– *Pobuuudkaaa...! Coś to niemrawo idzie! Jurek, spuść im namiot na głowy!*

Puściły naprężone od wilgoci linki. Zakotłowało się. Ktoś zlorzeczył, ktoś krzyczał, rozległy się śmiechy. Jak dobrze czuć się jeszcze młodym!

Po solidnym śniadaniu studiowanie mapy. Mieliśmy kopię „tajnej” przedwojennej sztabówki 1:25 000. Jakaż to przyjemność odczytywać mapę, porównywać z nią teren i nanosić swoje obserwacje.

A więc w drogę! Ruszyliśmy na stromy stok za potokiem.

– *Po co tędy się drapać?* – oponował Paweł. – *Nie lepiej obejść?*

– *Zaliczysz pierwsze wejście* – odprowadzałem – *Przecież uprawiasz taternictwo!*

Po sforsowaniu stromizny zeszliliśmy nieco w prawdziwie puszczański macecznik. Między wyniosłymi drzewami leżały na wpół spróchniałe, omszałe wykroty. Dalej rosła gęstwina olbrzymich paproci, a między nimi obficie spływały strugi wody. Źródłisko. Ale prześwitywała już jasna zieleń polany i słońce.

– *Uwaga na tę jodłę! Chyba ma już ponad trzy wieki?!*

Trafiliśmy na cenny relikw. Pień z trudem objęliśmy w czwórkę. Wielka dziupla u dołu nie rokowała jednak długiego żywota tego pomnika przyrody.

Przez suche trawy wspięliśmy się na szczyt Jaworzyny Krynickiej. Stanęliśmy pod „triangulem”. Ukazała się mocno przymglona panorama. Ani śladu Tatr i Górców. W lewo majaczył Małnik i Zimne, a po prawej – Pusta Wielka. Wypatrywaliśmy miejsc naszych dawnych wędrowek

Następnym naszym celem była jaskinia. Poznałem ją przed laty, ale jak teraz trafić, gdy porosły krzewy i drzewa? Poszliśmy 15 min na wschód, później wprost na południe ku bukom i ...

– *Jest dziura!* – zakrzyknął Paweł i zaraz próbował penetracji.

Rozpęknięte warstwy piaskowca zbyt

ciasno jednak okalały otwór. Sondowaliśmy więc tylko długim kijem, który utykał w skałach.

Trzeba jeszcze odwiedzić Diabelski Kamień po północnej stronie stoku. Wracamy mijając liczne dziewięciły, skaczące spod nóg pasikoniki, czerwone żuczki. Przedzieramy się przez skłębione, młode buczyny i trafiamy na czerwone znaki. Zaraz w lewo wyfaniamy się imponujący grzyb skalny, owiana legendą atrakcja okolicy. Wielka czapa zda się ledwo trzymać na cienkiej szyjce.

Dalej, nieprzetartym płajem, poszliśmy ku zachodowi. Wśród lasu żółte łany starca gajowego, bukiety astrei i kłujące maliny. Wkrótce ukazuje się nowy schron turystyczny, ale klamka nie puszcza.

– *Kto skoczy do PTTK w Krynicy po klucze?*

Chętnych nie było. Rozsiedliśmy się więc w pobliżu i zjedliśmy zapasy popijając wodą ze źródła.

Znów przez leśne bezdroża zeszliliśmy do obozu. Zapadał już zmierzch, gdy bezszelestnie pojawił się Tadeusz. Płonoło ognisko. Gadaliśmy. Ale wreszcie rozmowa urwała się. Każdy pozostał ze swoimi myślami: może o wartościach życia, o trwaniu tej puszczy i przemijaniu...?

Wśród ciszy słuchaliśmy, jak szumiał i pluskał między kamieniami potok, jak trzaskały i syczały gałązki w ognisku, a gdzieś tam grały pasikoniki. Ogień przygasał, to znów migał żarem.

– *I dobrze Wam tu, w tej głuszy* – przerwał ciszę Tadeusz, ni to pytając, ni półtwardząco.

– *My, mieszcuchy, szukamy tu relaksu* – tłumaczyłem.

– *Miasto* – odezwał się znów nasz leśniczy – *wiem, byłem na studiach w Warszawie.*

– *Tak, Tadiusz* – ciągnąłem – *przed wojną; błogi rodzinny spokój i koniki na Marszałkowskiej. Tutaj masz zawsze ciszę i piękno natury, ja zaś tkwię w miejskim młynie i smogu. W te góry przyjeżdżam jednak od dziecka, pokochałem je.*

– *Przeszedł w tych górach szmat życia, była nasza, a teraz mamy groby* – stwierdził Tadeusz. – *Ach! Nostalgia, romantyka, cóż mówić więcej. Jesteśmy kwita, Adaś.*

Ognisko dopalało się migocząc, a potok szemrał, coś tam opowiadał...

Adam Czarnowski



# Zamkowe opowieści (23)

Wojna trzydziestoletnia toczyła się w latach 1618–1648. Sprowadziła ona na środkową Europę, w tym także na Śląsk, apokaliptyczne wręcz nieszczęścia. Przez ziemię śląską przewalały się bowiem wielokrotnie najróżniejsze wojska – cesarskie, brandenburskie, saskie, duńskie, lisowczycy. A gdy grასowali tu groźni Szwedzi z dalekiej

ciągnęła się przez trzy dziesiątki lat. Ludzie rodzili się i umierali, nie wiedząc, jak wyglądają czasy pokoju.

– Prawda może być czasami nieprawdopodobna – twierdził znający te wydarzenia z okresu dzieciństwa francuski poeta Nicolas Boileau.

\*\*\*

otrzeźwieli i chyłkiem, za opłotkami obejść rozpiezchnęli się po swych zagrodach.

Wkrótce żołnierze natrafili na weselny dom sołtysa i nie czekając na zaprosiny sami zasiedli za stołami, suto zastawionymi wszelakim jadłem i trunkami.

A gdy zdrożeni, nieproszeni „goście” dobrze sobie już podjedli

## Przerwane wesele

północy, jakżeż nagminnie słyszało się żarliwe westchnienia do świętej Barbary, opiekunki umierających, oraz przerażające okrzyki strachu:

- Weh!
- Biada!
- Ajwaj!

Ileż to sadyb ludzkich poszło wonczas z dymem, tak doszczętnie, że nieraz i studnie spłonęły – jeśli były drewniane, a bywały często. Na umęczoną ludność miasta i wsi sypały się jak z rogu obfitości przeróżne „legalne” kontrybucje i nielegalne, samowolne grabieże, kwaterunki plądrujących armii, nieprzyjacielskich i własnych, upodabniających się coraz bardziej do swawolnych band.

Były to czasy, w których przestały obowiązywać wszelkie zasady człowieczeństwa. Upragnionym zaś łupem wojennym żołdaków, dezertarów, awanturników i wszelkiej maści przestępców stały się kobiety. Ludzie pokazywali, co potrafią, do czego są zdolni. Cała środkowa Europa, w tym również ziemia śląska, przepelniona była szatańską złością. Lzy ludu płynęły wtedy od wschodu słońca do jego zachodu, ale płynęły także od zachodu do wschodu, a często od urodzenia aż do zgonu. Nie zapomnijmy bowiem, że wojna

Trafiły się jednak na ziemi śląskiej zakątki nieco spokojniejsze. Nie wszędzie też okrutny bóg wojny dotarł od samego początku.

Był rok 1632, czternasty rok wojny, kiedy w jednej z podślęzańskich osad – Kiełczyńce – odbywało się normalne wiejskie wesele. Syn tutejszego bogatego kmiecia, Johannes Tafel, poślubił w miejscowym kościele, wtedy jeszcze ewangelickim, urodziwą córkę kiełczyńskiego sołtysa.

Wesele, beztróskie przyjęcie już na dobre się rozkręciło, a młodzież rozpoczęła huczne, skoczne tańce, gdy do wsi niespodziewanie wpadł pododdziałek szwedzkich rajtarów. Na złowieszczą tę wieść liczni goście w mig

i tego popili, zabrali się za plądrowanie obejścia i domu. Próbujący bronić dostępu do wielgachnego kufra sołtys został na miejscu skrócony o głowę, natomiast spieszący teściowi z pomocą pan młody otrzymał silne uderzenie rękojeścią pistoletu w ciemię i zwałił się nieprzytomny na podłogę. Po czym kosztowna zawartość kufra błyskawicznie zniknęła.

Teraz „dziarscy” żołdacy zaczęli rozglądać się za kobietami. Siedzącemu ciągle za weselnym stołem pijanemu dowódcy szwedzkiego pododdziału wpadła w oko urodziwa panna młoda. Ale gdy oficer dość bezceremonialnie zaczął się do niej „zalecać”, ta zdołała



Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
<b>Szlaki turystyczne w kolorze niebieskim c.d.:</b>						
Przeł. nad Wysoką Strzyżowską – Rzepnik – Zamek Kamieniec	Krosno	4.30 – 4.30	16/16	14,5	470	
Biała – Matysówka Łany – dolna Chmielnika – Borówki	Rzeszów	3.30 – 3.30	13/12	12,0	330	
Borówki – Jawornik Polski – Bachórz – Dynów	"	6.00 – 6.00	28/28	28,0	160	
Przemysł – Krasiczyn	Przemysł	3.00 – 3.00	12/12	10,5	250	
Krasiczyn – Kupna – Bruska – Sulczyna	"	5.45 – 5.00	19/19	18,5	360	
Sulczyna – Piątkowa – Dąbrówka Starzeńska – Dynów	"	7.15 – 7.45	23/23	22,5	560	
<b>Szlaki turystyczne w kolorze zielonym:</b>						
Strzyżów – Brzeżanka – Bonarówka	Rzeszów	4.00 – 3.30	13/12	11,0	430	N
Bonarówka – Królewska Góra – Zamek Kamieniec	Krosno	4.00 – 3.45	14/13	12,6	480	
Zamek Kamieniec – Doliny – Krosno	"	2.45 – 3.00	9/11	8,4	135	N
Przemysł – Bukowy Garb – Helusz	Przemysł	6.30 – 6.15	25/23	23,0	350	N
Helusz – Kramarzówka – Hucisko Nienadowskie	"	2.30 – 2.30	11/12	8,5	110	N
Hucisko Nienadowskie – Bachórz – Dynów	"	5.15 – 5.30	20/21	18,5	150	
<b>Szlaki turystyczne w kolorze żółtym:</b>						
Kołaczyce – Gogolów – Bardo – Chełm	Rzeszów	7.00 – 6.45	25/24	22,5	285	
Chełm – Tropie – Lętownia – Czudec	"	7.45 – 8.00	31/32	31,5	442	
Czudec – Góra Zamkowa – Wyżne	"	2.30 – 2.00	8/6	6,0	200	
Wyżne – Kamienna – Ujazdy	"	6.30 – 7.00	20/21	21,0	110	

go odepchnąć i wybiec z domu, potem bez namysłu puściła się pędem w stronę lasu, porastającego strome stoki Gór Kiełczyńskich, u stóp których leżały wiejskie zagrody. Jednak Szwed – mimo że łeb solidnie mu ciążył, mimo że chwiał się na nogach – rzucił się w pościg.

Tymczasem ocucił się zdzieleny w ciemność ręką pistoletu Johann, a odzyskawszy świadomość, wstał i zaczął gwałtownie szukać swojej żony. W domu nigdzie jej nie było. Po wyjściu na dwór nowożeniec zobaczył, jak jego oblubienica wbiegała już do lasu. Tuż za nią podążał szwedzki oficer. Młody małżonek od razu zapomniał o strasliwym bólu głowy i pognał w górę jak oszalały.

Niestety, Tafel spóźnił się. Kiedy bowiem dotarł w pobliże skałek znajdujących się przy leśnej ścieżce wiodącej na Szczytną, dostrzegł siedzącego na głazie pod samotnym świerkiem oficera. Obok leżała jego młoda żona. W jej nagiej piersi tkwiło ostrze sztyletu. Kobieta nie dawała żadnych oznak życia. Oszalały z rozpaczki Johann rzucił się na mordercę.

Wywiązała się śmiertelna wal-

ka wręcz. Po chwili pięści kielczanina zacisnęły się na szyi Szweda, Oficer zsiniał i wkrótce zeszytniał. Nienasycony zemstą Tafel chwycił znajdujący się obok na ziemi oficerski pasek, przywiązał go do konaru świerka i powiesił na nim bezwładne ciało syna dalekiej północy. W dole, na murawie spoczywała jego martwa żona.

Odtąd Johannes Tafel zniechęcił wszystkich ludzi, bez złości nie mógł patrzeć na czyjekolwiek szczęście. Niedługo potem został hersztem zbójczej bandy, zaszył się z nią w lasach ślązkiego masywu i począł niepokoić całą okolicę. Szczególnie jednak prześladował żołnierzy wszelkiej maści. Pojmanych nie puszczał nigdy wolno, doprowadzał ich na Szczytną i wieszał na rosnącym wśród skałek świerku, tym samym, pod którym została zamordowana jego młoda, świeżo poślubiona małżonka.

Upłynęło sporo czasu, nim Tafel opamiętał się i zaprzestał bezmyślnej zemsty, skończył uprawianie niecnego zbójczego zajęcia, opuścił swą bandę i stał się... świątobliwym pustelnikiem.

Natomiast jego dotychczas-

sowi towarzysze nocowali onegdaj pod rozłożystym, starym ślązkiem dębem. Wkrótce zupełnie niespodziewanie – jak to nierzadko zdarza się w Masywie Ślęży – rozszalała się potworna burza. Ciemności raz po raz oświetlały błyskawice. Nie ustawała ani na moment burzowa kanonada. Nagle jeden z potężnych piorunów uderzył w drzewo, pod którym siedzieli ukryci zbójcy. Porażenie było tak potężne, że wszyscy oni zginęli na miejscu.

Pustelniczy szałas Tafla znajdował się na Szczytnej, najwyższym wierzchołku Gór Kiełczyńskich, w tym miejscu, gdzie – jak głosiła prastara wieść gminna – ongiś, przed wieloma wiekami istniało pokaźne grodziszcze lub też stało tajemnicze zamczysko. Pustelnik żył jeszcze długie, długie lata, żył w pokoju z Panem Bogiem i okolicznymi ludźmi, którzy często pielgrzymowali do jego ubogiej chatynki, niczym do jakiejś odпустowej świętości.

**Julian Janczak**

Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
<b>Szlaki turystyczne w kolorze żółtym c.d.:</b>						
Ujazdy – Łabno – Kazimierzówek – Dynów	Rzeszów	4.30 – 4.45	18/19	16,0	220	
Pruchnik – Kramarzówka – Dubiecko	Przemyśl	5.00 – 5.00	16/16	14,0	250	
Dubiecko – Stone – Dąbrówka Starzeńska – Dynów	"	5.45 – 6.00	21/23	21,0	360	
<b>Szlaki turystyczne w kolorze czarnym:</b>						
Czudec – Dział – Babica – Polomia	Rzeszów	4.15 – 4.00	15/14	12,0	490	
Polomia – Godowa – Brzeżanka	"	3.45 – 3.30	14/12	12,0	200	
Zalesie – Matysówka Łany	"	1.00 – 0.45	4/3	2,5	155	
Zamek Kamieniec – Czarnorzeki – Czarny Dział	Krosno	3.15 – 3.45	12/12	10,3	440	
Załuż – Stonny Wierch	Sanok	2.45 – 2.30	13/9	9,0	330	

**Dzierżawcy Schroniska PTTK na Polanie Chocholowskiej  
Alicja i Wincenty Cieślenczowie  
ZAPRASZAJĄ**

Schronisko dysponuje 48 miejscami w pokojach 2-osobowych i 85 miejscami w salach zbiorowych.

Rabaty cen noclegowych dla grup poza terminami ferii i wakacji.

Ogólnodostępne prysznice, sanitariaty, świetlica, TV, kuchnia turystyczna, czytelnia, stół do tenisa stołowego.

Samoobsługowy bar – jadalnia, pełne wyżywienie w godz. 8-20.

**Schronisko PTTK na Polanie Chocholowskiej, 34-500 Zakopane  
tel. (065) 705-10**



Był wszędzie gdzie działo się coś istotnego w dziedzinie fotografii: w latach międzywojennych pojawiło się w tym zakresie wiele nowości.

Antoni Wieczorek (1898-1940), z urodzenia Zakopianin, z wykształcenia doktor muzykolog, z zamiłowania człowiek sztuki, a z praktyki – fotograf. Artystyczne skłonności nie przesłoniły mu poczucia realizmu w dydaktyczno-metodycznym działaniu i popularyzacji. Intensywną pracą zawodową i działalnością organizacyjną oraz licznymi wypowiedziami i publikacjami zdobył sobie wielki autorytet w kraju i za granicą, chociaż działał tylko przez dwadzieścia lat.

Wieczorek był znakomitym regionalistą i znawcą fotografii górskiej. Uwielbiał wędrówki tatrzańskie latem i zimą, głęboko przeżywał piękno natury i jej związki ze stanem atmosfery oraz światłem. Jego zdjęcia mają charakterystyczne indywidualne piętno. Są wynikiem nie tylko artystycznych wrażeń, ale i dokładnych przemyśleń: analizy składników krajobrazu i estetyki kompozycji. Uwydatnienie brył i perspektywy oraz wydobywanie wyrazistej faktury to główne cechy zdjęć Wieczorka. W artykule *O fotografii górskiej w Tatrach* („Wierchy” 1935) tak napisał:... *Fotografia jest sztuką światłocienia, operuje linią i tonem, przewartościowanym z gamy barwnej, a tematem jej są z reguły*

## Fotografowali Tatry (6)

# MISTRZ ŚWIATŁO- CIENIA

*bryły, których należyte oświetlenie (czyli rozłożenie światła i cienie) jest decydujące dla plastyki przyszłego obrazu..*

Chodzi tu oczywiście o fotografię czarno-białą.

Wspominany artykuł oraz poradnik *Fotografowanie w górach* zawiera zarówno cenne wskazówki praktyczne dotyczące tego trudnego rodzaju zdjęć, jak i wiele innych przemyśleń o roli fotografa-popularyzatora ich treści na dobrym estetycznym poziomie. Wypowiada się m.in. o znaczeniu pocztówek. Tu trzeba dodać, że Wieczorek był inicjatorem wydania licznych serii pięknych fotowidokówek, które produkowano w



TATRY. Zima na Gubałówce.



ZAKOPANE—TATRY. Krajobraz tatrzański z doliny za Mnichem. W dali Rysy (2500) m.

Fot. Dr. A. M. Wiczorek

„Książnicy Atlas” we Lwowie, a ponadto w paru firmach krakowskich.

Antoni Wiczorek uprawiał także fotografię faktu, również poza Tatrami. Szczególną wagę przywiązywał do zdjęć różnych epizodów ukazujących prawdę życia i dokumentów krajoznawczych: nieznanymi szerzej okolic i obiektów. Stał się orędownikiem fotografii ojczyściej i polemizował na ten kontrowersyjny ówczesnie temat w wielu artykułach i pogadankach radiowych.

Około 1930 r. zaczął robić karierę małoobrazkowy aparat Leica. Wiczorek stał się jego entuzjastą, udowadniając, że można robić doskonale, ostre zdjęcia. Chwalił szybkość działania tej małej kamery, co było ważne nie tylko w reportażu, ale i przy wychwytywaniu tak zmienionych nastrojów w górach, ich specyficznej scenarii. Doświadczenia z nowym ówczesnie aparatem opisał w licznych polskich czasopismach fotograficznych (m.in. „Moja Leica”) oraz w książce *Leica w Polsce* (1936).

Dorobek Wiczorka przetrwał w kilku miejscach. Nieco negatywów i kopii znajduje się w Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu. W tymże mieście, w Muzeum Narodowym, a także w Zakopanem, w Muzeum Tatrzańskim, znajdują się m.in. teki wystawowe z fotografiami. Można na nich podziwiać cuda tatrzańskiego krajobrazu: owe nienagane w perspektywie serie grzbietów cienie dolin, skał, a czasem drzew i niezrównanie czytelną fakturę falistych hal okrytych czasem kryształami śnieżnymi fotografowanymi pod słońce. Można też wyczuć górskie powietrze.

Adam Czarnowski

Foto: Dr A. Wiczorek. Repr.: A. Czarnowski

## O pokoju z widokiem na morze

W moim życiu są góry, w Twoim życiu i w naszym życiu też są góry. Może nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale wciąż idziemy w góry lub z nich schodzimy.

Góry są bez ram, nawet gdy ujęte w nie wiszą na ścianie Twojego pokoju. Rozciągają się poza Tobą, odczuwasz ich obecność, patrzysz i widzisz je poza linią horyzontu, w dali fascynującej, bo wzrok Twój już ich nie obejmuje, ale widzisz duszą, wzrokiem swego wnętrza.

Fascynująca jest umiejętność obserwowania siebie, podczas marszu lub postoju, podczas posiłku lub zza spuszczonego powiek. Patrzeć i widzieć coś, co się chce zobaczyć. Dostrzeganie metafizyczne?

Piękno jest zmienne, zależy od pory roku, pory dnia, nastroju, przeżycia, doznania, samopoczucia... nawet zależy od partnera Twojej wędrowki. Idąc w góry chcesz zażyć piękna, rodzi się ono w Tobie podczas mozołu, strużek potu, które czujesz, jak laskocząc sypłują po Twoim ciele. Wkładasz wiele wysiłku, aby zażyć tego piękna, osiągasz go w końcu i przez chwilę przynajmniej jesteś w transie, jak po zażyciu narkotyku.

Idąc do góry rejestrujesz piękno, często bezwiednie. Patrzysz i widzisz rozrzucone bezwładnie czerwone korale jarzębiny pod drzewem, grzyby z dziwnymi kapeluszami wywiniętymi do góry, których nikt nie zbiera, kobierce traw, tak bardzo intensywnie zielonych i płożących się z ruchem wiatru, aż sprawiające wrażenie nienaturalności. Masz ochotę położyć się na nich, wziąć do ręki.

Czy pnie obciętych drzew, na których możesz spocząć po wysiłku i pościć się (czyżby tylko do tego służyły?). Ścieżki, ścieżynki, prowadzą gdzieś, może donikąd? Idziesz do góry, widzisz szczyty przed sobą, są jak stożki lub banie. Może kogoś prowadzisz, może trzymasz za rękę i czujesz więź, którą doznajesz dzięki górze. Jesteś przecież w świątyni.

Cisza, skupienie, słyszysz szumiący w dali potok, czasem zdaje Ci się, że sły-

szysz więcej, ale nie potrafisz tego pojąć. Rozmawiasz duszą. Spowiadasz się towarzyszowi wędrowki, mówisz mu więcej niż zwykle, nie masz przed nim tajemnic. Po co? Tu, w górach, musisz mówić prawdę, bo nie wypada kłamać, oszukiwać. Jesteś w końcu czysty, bezbronny, zostawiłeś wszystko w dolinach, przestałeś być niewolnikiem materii, którą sam sobie stworzyłeś. Podajesz towarzyszowi serce na wyciągniętych dłońach.

Popatrz sobie z wysokości góry na swoje życie, na to, co stworzyłeś, rzecz wielką, wartościową, czy marną też, podszyci wiatrem. Zadaj sobie pytanie: czy jesteś szczęśliwy? A może wówczas dojdiesz do wniosku, że chcesz tego szczęścia choć trochę? Może patrząc z góry zobaczysz, jak kręte i proste zarazem są drogi, które prowadzą do tego celu?

Może znajdziesz pocieszenie, może radość, może podasz jeszcze komuś innemu dłoń, może powrócisz w doliny z nadzieją, ufnością.

Na szczycie Twojej góry piękno zawsze Cię porywa i przeżywasz, chcesz zapomnieć, ale jednocześnie coś nowego znaleźć. Wydaje Ci się, że patrząc z okna pokoju schroniska widzisz więcej, widzisz morze. Tak! Twój pokój jest z widokiem na morze! Szczyty wokół. Oczy rejestrują to zjawisko. Morze falujących, zmieniających się barwą gór, groni, przegibków, opadających stoków... Rankiem spowitych mgłą, po zachodzie słońca otulających się ciemnościami.

Zdaj sobie z tego sprawę, że widzisz poza ramą krajobrazu, że widzisz z okna Twojego pokoju w schronisku morze. Tak! Twoje okno wychodzi na morze. Nie jesteś sam, ktoś przeżywa to z Tobą?

Jesteś bogaty duszą, bądź sobą! Zrozumiałeś? Wiedz odtąd, że tylko w górach odnajdziesz pokój z widokiem na morze!

Ryszard M. Remiszewski

NA SZLAKU 1/55 STR. 17

**Dzień szósty.** Ruszamy na Przeł. Orłowicza. Przy wejściu na szlak spotykamy leśnika na motocyklu, który zagadnął do nas: „proszę bilety”. „Jakie bilety?” – zapytałem nie bez irytacji, przecież opłaty obowiązują grupy od 8 osób. Okazało się, że BPN zmienił regulamin „dla zwiedzających” i teraz płacą już wszyscy. Według Parku, turyści to jacyś „zwiedzający”, jakby góry były muzeum lub izbą pamięci. Ponieważ w ubiegłym sezonie większe grupy dzieliły się na zespoły poniżej ośmiu osób, znaleziono wyjście z sytuacji i zastosowano odpowiedzialność zbiorową. Teraz za tamtych spryciarzy płacą wszyscy. Wciąż

bowych samochodów i na co pozwalali w przeszłości rozmaitym poprawiaczom krajobrazu, przejście kilkoma nieznanymi ścieżkami nie ma dla przyrody Parku żadnego znaczenia.

**Dzień siódmy i ósmy.** Rano podjechaliśmy autobusem do Berehów Górnych. Przy wyjściu na szlaki na Wetlińską i Caryńską spotkaliśmy bileterów z BPN. Po sprzedaniu biletów kilku turystom wsiedli do samochodów i zniknęli we mgle. Wychodzi na to, że bileterzy pojawiają się w tym miejscu, kiedy do Berehów przyjeżdża autobus. W innych zawodach ludzie pracują przeważnie osiem godzin, a nie kilka razy

tydzień, a sytuację pogarszała rura spustowa odprowadzająca wodę z rynien „Kremenarosa” na teren biwakowy. W ogóle „Kremenaros” to dziwne miejsce. Zaadoptowany na tymczasowe schronisko przetrwał swą tymczasowość i jak każda prowizorka będzie pewnie udawał schronisko turystyczne jeszcze wiele lat. Budynek ten nie spełnia prawdziwie roli schroniska, choćby ze względu na mikroskopijne zaplecze sanitarne i brak pomieszczeń ogólnych. Trudno, by rolę sali ogólnej pełnił korytarz, turysta nie śpiący w pokoju praktycznie nie ma się gdzie podziać. Na korytarzu turyści odpoczywają i jedzą posiłki. Sąsiedztwo baru

## **BIESZCZADZKIE REALIA – LATO 93 (2)**

# **Nad Krzemieńcem słońce, a gdzie indziej...?**

mam wyraźnie, że opłaty wprowadzono (na mocy ustawy) nie w celu realizacji programowych zadań Parku, a dla zaspokojenia podstawowych potrzeb finansowych tej i n s t y t u c j i p a ń s t w o w e j.

Moim zdaniem państwo, które zabiera nam 20 do 30% dochodów, powinno utrzymywać takie instytucje, jak parki narodowe, szpitale i szkoły, wojsko i policję, i inne instytucje p a ń s t w o w e. Ale nawet, jeśli uznać powszechne opłaty za wejście na teren BPN za uzasadnione, to pozostałe opłaty wyszczególnione w regulaminie są zwykłym naciągactwem. Myślę o opłatach za jazdę rowerem, konno czy profesjonalne filmowanie. Trzeba jednak przyznać, że BPN docenił „starych górali” i zwolnił posiadaczy srebrnych i złotych odznak PTTK z opłat za wejście na szlaki. Zostawmy na chwilę regulamin Parku, bo wątpliwości jest co niemiara.

Kupiliśmy bilety i przy pięknej pogodzie podeszliśmy na Przeł. Orłowicza. Po drodze spotkaliśmy część klubowej wyprawy (klub „Karpaty” z Torunia) pod wodzą prof. A. Tomczaka, czołowej postaci naszego klubu. Pozostali klubowicze powędrowali na Połoninę Wetlińską, gdzie spotkaliśmy ich po dotarciu do schroniska. Pogoda zaczęła się psuć i zrobiło się późno, rozpoczęliśmy powrót urozmaicony przejściem bocznej grani Poł. Wetlińskiej i Hnatowego Berda. Tak jest, poszliśmy nieznanymi szlakami, ścieżkami opisywanymi w IV tomie przewodnika *Beski*, istniejącymi pewnie od stu lat, kiedy nawet nie śniło się nikomu o zbawczym działaniu BPN. Dlatego nasze turystyczne sumienia pozostały czyste. Wobec tego, co pracownicy Parku wyrabiają przy pomocy służ-

dziennie przez kilka minut, jak bileterzy z Berehów. Widocznie Parkowi opłaca się utrzymywać tak pracujący personel

Pogoda kiepska, chmury i mżawka. Przebieramy się i ruszamy do góry. Co chwila to przecierało się, to popadywało. Ze szczytu niewiele jednak było widać. Nad chmury wystawał tylko czubek Połoniny Wetlińskiej, potem za chwilę wyłonił się grzbiet Wielkiej Rawki. Kiedy schodziliśmy z Caryńskiej po wschodniej stronie, ponad „morze chmur” wyłoniła się Tarnica, Bukowe Berdo, Krzemień i Halicz. Widok wspaniały. Przypomniały nam się widoki z Pożyżewskiej, kiedy to chmury wypełniły dolinę Prutu.

Na zejściu, tuż przed granicą lasu, zobaczyliśmy taki oto widoczek. Szlakiem pod górę podążała grupka dziewcząt w mniej lub bardziej sportowym odzieniu, a wśród nich jedna w różowych pantofelkach, takież bluzce i wizytowej eleganckiej marynarce. Widać ducha i fantazja w narodzie nie ginie.

Trudno w tym miejscu oprzeć się refleksji o tym, w czym chodzą dziś turyści po górach. Z moich obserwacji wynika, że około 50% to tzw. „trampkarze”, 20% chodzi w butach „pionierkopodobnych” i ledwo 20% dobija „trapersy”, dziś już nie produkowane. Ponoć nowotarskie „Podhale” wyrabia podobne buty, ale gdzie one są? Zupełny margines stanowią użytkownicy butów importowanych, ze względu na ich ceny.

W Ustrzykach Górnych ulokowaliśmy się na placu przy schronisku „Kremenaros”. Miejsce okazało się fatalne, bo całonocna ulewa zamieniła biwakowisko w bajoro z nielicznymi wysepkami, na których stały wcześniej postawione, nie zalane namioty. Wody było miejscami do połowy

„Kremenaros” wcale sytuacji nie rozwiązuje, wręcz przeciwnie.

Trudno przecież uznać za zaplecze schroniska miejsce, w którym do 5 rano łomocze dyskoteka, a niedopici goście po wyjściu szukają kolejnych wrażeń. Poza tym w „Kremenarosie” trudno czuć się turystą, jest się tam raczej klientem firmy „Grządziel”, której PTTK wydzierżawił barak. Tak więc turysta ma do wyboru iść do „Grządziela”, na kemping PTTK, na prywatne obozowisko lub do nowego hotelu PTTK. Niby wybór jest, ale schroniska z prawdziwego zdarzenia nie ma, choć miało być. Hotel górski też jest potrzebny, ale najbardziej potrzebne było i jest normalne schronisko turystyczne. Postawiono hotel nie dla nas. Niewielu z nas stać jest na zapłacenie 120 czy 140 tys. zł za nocleg. Owszem, sporadycznie turyści będą odwiedzać hotel, tak jak zrobili to nasi koledzy klubowi, których „Kremenaros” odstraszył swoim wyglądem i „wyposażeniem” sanitarnym. Czekam zatem na odpowiedź: dlaczego zmieniono projekt i zbudowano, również za nasze pieniądze, obiekt nie dla nas przeznaczony, dlaczego nie zbudowano schroniska? Hotel ma klientów, co widać po parkingu zapełnionym nie najtańszymi samochodami, przewiduję jednak, że zimą będzie stał pusty, bo trudno liczyć na narciarzy, zwłaszcza że BPN zakazał uprawiania narciarstwa na terenie Parku. A może już w przyszłym roku zawiśnie nowy sztyl z napisem „schronisko turystyczne PTTK”, a ceny odpowiednio spadną? Wtedy nowy obiekt w Ustrzykach zapełniłby się turystami, jestem tego pewny. Jest to moja propozycja pod adresem gospodarzy hotelu w Ustrzykach. Wyjdźcie do turystów, a turyści przyjdą do was...

Dziewiątego dnia poszliśmy, jak prawie wszyscy w Ustrzykach, na Tarnicę i Halicz. Tego dnia zaświeciło wreszcie słońce. Było wspaniale, mimo że na szlaku tworzyły się „tramwaje”, a na Tarnicy tłum niczym na Kasprowym.

Pierwszy raz szedłem odcinkiem szlaku głównego, poprowadzonym ścieżką przez połoninę. Owszem, sympatycznie, ale to nie to, co grań Krzemienia. Na Haliczu zatrzymaliśmy się na dłużej, by zrobić herbatę i coś zjeść. Spoglądaliśmy na wciąż nie udostępniony znakowanym szlakiem Kińczyk Bukowski, na odległy Pikuj i Ostrą Horę po stronie ukraińskiej. Kto wie, może kiedyś i tam pójdziemy?

Postanowiliśmy, że w powrotnej drodze zahaczymy jednak o grań Krzemienia, chciałbym bowiem poznać przyczynę zamknięcia jej dla turystów. Poszliśmy więc

granią. Ścieżka jest taka sama, jak w 1986 r., kiedy szedłem nią ostatni raz. Dookoła może nieco bujniejsza roślinność, poza tym bez zmian. Z grani wspaniałe widoki, których nie znają turyści wędrujący nowym odcinkiem szlaku. Dlaczego pozbawiono ich tych widoków? Otóż, po prawie trzydziestu latach (powojennych) istnienia szlaku i kilkunastu latach istnienia Parku, uznano ten rejon za rezerwat ścisły. Głoszą to trzy blaszane tablice (około 40x60 cm), umieszczone na płocie przed granią od strony szlaku Tarnica – Bukowe Berdo. Nie wolno zatem wchodzić na grań, nie rozumiem tylko dlaczego. Przecież, jak głoszą równie eleganckie blaszane tablice, *połoniny stanowią rezerwat ścisły*, a prowadzą przez nie znakowane szlaki. Dlaczego granią Krzemienia nie może prowadzić również znakowany szlak? Wszak to taki sam rezer-

wat, jak te udostępnione. Nic nie rozumiem. Wygląda na to, że zamknięcie Krzemienia jest zwykłą złośliwością BPN wobec turystów. No cóż. Podróże kształcą. Również wędrowka po Bieszczadach. Wiem już, jakie cele ma Bieszczadzki Park Narodowy. Myli się ten, kto sądzi, że chodzi o ochronę bieszczadzkiej przyrody. Czy te dziesiątki blaszanych tablic szpecących najpiękniejsze zakątki to jest ochrona przyrody? Czy uganiający się samochodami po bieszczadzkich drogach leśnicy chronią przyrodę? Mam uwierzyć, że ich samochody nie wydzielają spalin? Na co idą pieniądze z biletów? Na blachę zaśmiecającą góry, na schody i barierki w środku gór (w drodze na Wielką Rawkę), na pensje dla bileterów, na paliwo do samochodów wykorzystywanych nie tylko do celów służbowych? Chyba, że dzieci wożone parkowym gazikiem to też pracownicy Parku. A może w zamian za opłaty wolno nam biwakować w górach, albo pójść nieznakowaną ścieżką, czy wędrować na nartach? Nic podobnego.

O wszystko trzeba się pytać i płacić, a nuż łaskawie pozwolą. Przecież gór tych nie stworzyli parkowcy. Nie oni wytyczyli ścieżki i drogi. A gdzie byli dzielni ochroniarze, kiedy wojacy z MSW demolowali otulinę Parku dynamitem? Wtedy łoskot wybuchów, spaliny z buldożerów jakoś nie przeszkadzały Parkowi, tak samo, jak kosztowne PGR-y stawiane w środku gór, albo strzelaniny urządzone przez rozmaitych notabli. Przecież w tych zabawach i leśnicy mieli swój udział. Ktoś przecież podprowadził „gości” do zwierzyny. No tak, ale wtedy szalała „komuna” i nie można się było sprzeciwiać, a teraz Park ma swobodę działania. No i działa. Chyba coś za dużo tej swobody. Ale czy to pierwszy raz władza uderzyła komuś do głowy? Pozostaje mieć nadzieję, że parkowcy otrząsną się, albo że dzisiejszych władców gór zastąpią inni.

Na razie Parki robią złą robotę i przykre jest to, że musimy walczyć z Parkami, o czym mówił na Naradzie Aktywu Władysław Krygowski. Życie idzie jednak naprzód, więc może coś się zmieni?

Dziesiąty dzień to wyprawa na Wielką Rawkę, skąd przez Małą Rawkę zeszliliśmy do bacówki. Krótki pobyt w tym schronisku pozwolił zorientować się, że działa ono, jak trzeba, jest tam sympatycznie i t u r y s t y c z n i e. Tym optymistycznym akcentem kończę opowieść o bieszczadzkich realiach lata 1993 roku.

Juliusz Wystouch



Foto: K. Kochański



# GLOBTROTER



Rzecz jasna, nie chodzi tu o ten warszawski. Czy może być coś atrakcyjniejszego, niż niespodziewana, nieplanowana daleka podróż? W dodatku zaawizowana na dziesięć dni przed wyjazdem? Takie coś trafiło mi się w końcu października 1993 roku. Będąc w tym czasie z króciutką wizytą roboczą w Niemczech,

wszystkich londyńczyków do Hamburga, a tam organizujemy już zastępczy autokar, który pojedzie przez Amsterdam.

Pytania, czy zdążymy przed moim odlotem (miałem tylko dwie godziny przed startem), pozostają właściwie bez odpowiedzi. Cóż, ryzyk fizyk, Kaśka butów nie miała, to chodziła boso. Noc w drzemce i

130 km/h. Całe szczęście, że to niedziela i nawierzchnia sucha. Wybłągałem wręcz, żeby podrzucił mnie na lotnisko, bo przecież z Dworca Centralnego nie mam najmniejszych szans, by zdążyć przez odlotem. Wsiadam na Schipholu o 12.45! Duże brawa dla kierowcy! Co z tego, gdy nie mogę przez 40 min znaleźć grupy. Wreszcie

## Poznać Nowy Świat

otrzymałem propozycję wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, na dwa tygodnie, celem zapoznania się wraz z ponad dwudziestoposobową grupą europejską z zapobieganiem zanieczyszczeniu środowiska w amerykańskim wykonaniu. Odlot... za dziesięć dni! Po relacjach znajomych już w kraju nie liczyłem właściwie na jakąś szansę. A to konsulat Stanów Zjednoczonych bywa obleżony, a to wizę niezmiernie trudno dostać (a ja w dodatku nie miałem nawet pisemnego zaproszenia) itp. itd. Wybrałem się wszakże do Poznania, a tu – puchy! Po krótkiej rozmowie z miłym, młodym urzędnikiem po trzech godzinach odbierałem paszport z wizą. – *Teraz już inne czasy, dla naukowców nie ma żadnej sprawy!* – usłyszałem. Z biletami też poszło w zasadzie gładko, acz samoloty w żaden sposób (także i przez Frankfurt z Wrocławia) nie pasowały, organizator przyspieszył dzień odlotu – na niedzielę z Amsterdamu. Kupiłem więc bilet na autokar z tyskiej firmy „Karolina”. W sobotni wieczór czekam więc na wrocławskim nowym dworcu autobusowym: budynek niedostępny, bo nie wykończony. A tu zimno, z walizką nie ma jak spacerować, autokar zaczyna się spóźniać. Wreszcie jakiś przyjechał. – *Pański też jedzie, jest za nami* – mówi kierowca z „Karoliny”. Minęło wszakże ponad półtorej godziny zanim pojawił się następny. Ale...do Hamburga. Zanim rozpytałem się kierowcy, już pilotka wyjaśnia mi, że ten mój, do Londynu, miał poważny wypadek pod Brzegiem i został wycofany. Czuję, jak mimo zimna oblewam się potem. – *Ale nie, proszę się nie martwić, zabierzemy Pana i*

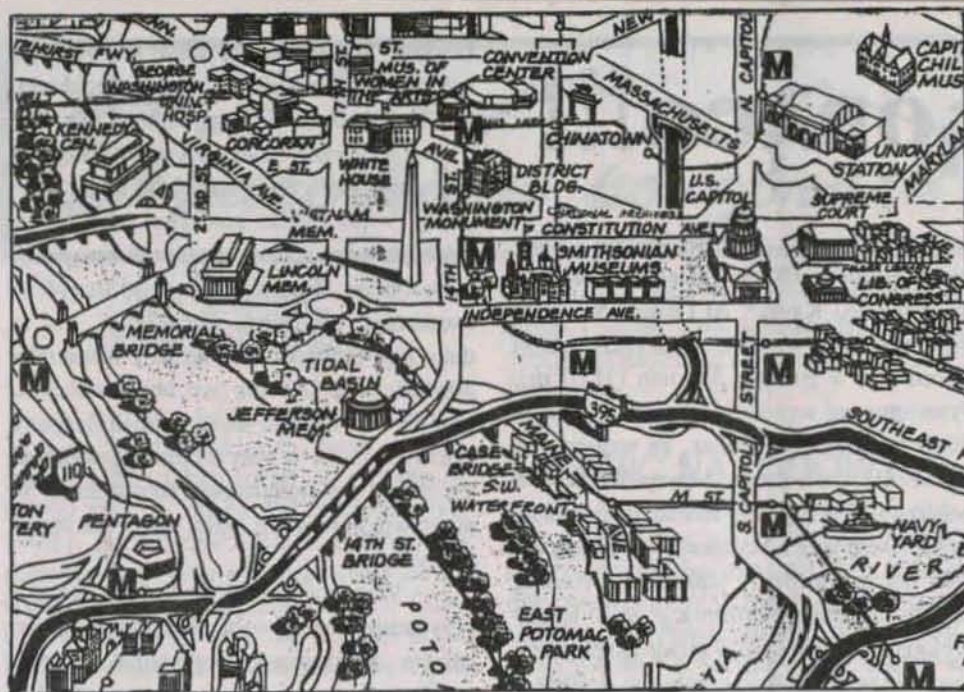


Zachodni fronton Kapitolu. Fot. K. R. Mazurski

niejakiej malignie (okazało się, że podłapałem okrutny katar), no i dotarliśmy przed godziną ósmą do Hamburga. Część z nas wysiada. Mikrobus już czeka, ładujemy się, kierowca (Górnoślązak, sądząc z akcentu) – wyrwany w nocy do ekstra jazdy, szykuje się do drogi. Zaczynam go molestować, czy dowiezie nas przed trzynastą na lotnisko, bo grupa się zbiera i zaraz potem odlot. – *Panie, to ponad 500 km!* – krzywi się. – *Szansę znikome, nie dojadę. Co robić? Wycofać się? Ale jak wróć? Zaprzepaścić szansę pobytu w Stanach? Ach, zaryzykuję, w końcu wróć autokarem „Karoliny” z Amsterdamu. Ale teraz jedziemy załadowanym mikrobusem VW hamburskiej firmy INTERGLOBUS REISEN. Kierowca przyłożył się do jazdy: na liczniku stałe 120 –*

przy dużej pomocy personelu dotarłem do niej. Okazało się, że wysłano fax zmieniający miejsce zbiórki, ale już nie dotarł do mnie. Za to pocieszają mnie: odlot jest opóźniony o dwie godziny! KLM funduje nam piwo, a potem jeszcze kolacyjkę, bo... dołożono dalsze trzy godziny. W sumie tyle nerwów, by wystartować pięć godzin później niż planowano. Jumbo-jet zrobił duże wrażenie, to rzeczywiście kolos. Cóż z tego, nie bardzo w nim wygodnie, więc nawet drzemania nie było wiele. Całe szczęście, że przylecieliśmy... wieczorem, więc mogliśmy tę nieprzespaną noc odrobić w łóżkach.

Po kilku dniach pojawiliśmy się w Waszyngtonie i zatrzymaliśmy się w dużym hotelu niedaleko lotniska, a więc w tzw. Crystal City, części Arlingtonu, leżącego na



Centrum Waszyngtonu

zachodnim brzegu Potomaku, tj. w stanie Wirginia. Trafił nam się weekend, więc już z rana poszczególne grupki ruszyły zaliczać stolicę USA. Pogoda nie była zbyt łaskawa: mżyło w zasadzie do południa, chłodno. Ale cierpliwie deptaliśmy centrum, poczynając od budynku NASA i kierując się na wschód. Centrum miasta, mimo niepogody, zrobiło na nas dobre wrażenie: dużo przestrzeni, rozległe tereny zielone i parkowe, monumentalne, ale nie sfoczone budynki rządowe. Miasto wybudowano, jak większość północnoamerykańskich, na prostym planie szachownicy. I równie prosto ponazywano ulice: biegnąco równoleżnikowo otrzymały oznaczenia alfabetyczne, południkowo – liczbowe, zaś ukośne większe trasy (także nieliczne inne) otrzymały „zaszczytne” nazwy Avenue (aleje). Centrum posiada bardzo zdecydowaną oś perspektywiczną, wyznaczaną przez pomnik Lincolna nad Potomakiem i Bibliotekę Kongresu z Sądem Najwyższym od wschodu. Na tej linii kulminuje Kapitol – siedziba Senatu i Izby Reprezentantów oraz iglica Pomnika Waszyngtona z długą i cierpliwą kolejką, która chce dostać się na jej szczyt dla podziwiania rozległych widoków. Rzeczywiście, są one piękne, zwłaszcza, jak oceniliśmy to następnego dnia, w słońcu, które wydobywa najróżnorodniejsze odcienie złota i czerwieni z licznych drzew liściastych, przeważnie klonów. To indiańskie lato, nasza złota jesień.

Samo miasto można oblecieć w dzień, dwa najwyżej, jeżeli chce się zobaczyć części nieco oddalone od centrum. W tym czasie można zwiedzić dwa najważniejsze obiekty władzy, tej politycznej, w

Stanach: Kapitol i Biały Dom. W obu przypadkach wstęp bezpłatny, z tym, że po tym pierwszym, rozległym gmazysku można właściwie cały dzień (oczywiście podczas weekendów) pałętać się bez końca, tyle w nim miejsc udostępnionych do oglądania – w tym także sale posiedzeń, bardzo podobne, gustowne i robiące wrażenie, nie da się ukryć. Ale są też wystawy, m.in. o budowie Kapitolu, zbiór posągów wybitnych Amerykanów. Z Białym Domem jest nieco inaczej, choć też bez trudności, za to cały tydzień (bez weekendów na odmianę). Zwiedza się tylko dwie dolne kondygnacje, bo dwie wyższe to prywatna rezydencja Pierwszej Rodziny, jak mówią o rodzinie prezydenta USA. Tłum spory, ale sprawnie ustawiany dwójkami szybko posuwa się do przodu. Ścisła kontrola, prześwietlanie i już po kilkudziesięciu krokach można zwolnić tempo i do woli napawać się widokiem miejsc znanych często z telewizji. Tylko zdjęć nie można robić. Szkoda...

Do krótkiego też pobytu (choć przy sporej ilości czasu można to robić bardzo długo) da się zaliczyć wizytę w National Geographic Magazine w nowoczesnym budynku, w którym na parterze urządzono arcyciekawą wystawę o Ziemi i Kosmosie, łącznie z symulowanym lotem kosmicznym. Pycha! Rzykowne jest natomiast wstępowanie do Smithsonian Museums. Jest to jeden z największych kompleksów muzealnych na świecie i bez silnej woli można się w nim zagubić na cały dzień! Za to zbiory należą do arcyzajmujących, z różnych dziedzin, tak że każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Wschód i północ Waszyngtonu to

dzielnice murzyńskie, różnego typu. Są przecież wśród nich wybudowane dla bogatszych i dla biedniejszych. Przeważnie są to ciągi jednopiętrowych domów, takie szeregowe budownictwo, przy czym każdy segment jest inny. Różny też ich jest stan: zadbane, opuszczone, kolorowe, odrapane. Tu także wiele kościołów, należących do tzw. drugiej reformacji protestanckiej, tak różne, że Europejczyk zadziwi się ich gamą. Ale cóż, w Stanach wszystko jest naj... naj... naj..., choćby tylko w skali USA.

Do szczególnie czczonych miejsc w tym państwie jest cmentarz arlingtonski, położony na malowniczo pofałdowanych zboczach wzgórz opadających ku Potomakowi. Pierwotnie była to posiadłość kolonialna, zachowana do dziś w swej formie z początku XIX w. Jego centrum stanowi Arlington House, sprzed którego rozciąga się piękny i głęboki widok aż po Kapitol. Zwiedzanie zapoznaje ze standardem, w jakim żyli posiadacze ziemscy i niewolników, których skromniutki domek z wyposażeniem wznosi się obok. W chwili wybuchu wojny secesyjnej (1861) należała ta posiadłość do gen. Roberta Lee, który został mianowany dowódcą wojsk Konfederacji stanów południowych. Ale że to przecież pod boki stolicy Unii stanów północnych, została ona skonfiskowana i przy narastającej ilości poległych żołnierzy Północy przekształcona w cmentarz o charakterze honorowym. Ma on nastrój wcale nie smutny, żałobny, jak w większości na naszym kontynencie. Wręcz przeciwnie: sprawia wrażenie pogody i nadziei. Zapewne to wynik braku grobów w naszej formie,znaczonych jedynie płytami, rzędami lub bezładnie ułożonymi na trawnikach, pokrywających falisty teren. Wśród tego malownicze drzewa, alejki spacerowe. Tu pochowano dwóch wybitnych braci: prezydenta Johna Kennedy'ego i głównego prokuratora Roberta Kennedy'ego, obu skrytobójczo zastrzelonych. To bardzo zwykłe miejsca, płyty leżące w trawie, bez rozłożystych monumentów, bez pompy. Każde usiłowanie takiego oddania hołdu byłoby w stosunku do obu polityków fałszywe, i tak nie oddawałoby czci, jaką są otoczeni. Jedynie przy miejscu spoczynku prezydenta, któremu towarzyszy jego mała córeczka, płonie wieczny znicz. Od rana do późnego popołudnia przewijają się przez cmentarz i jego ośrodek informacyjny tysięczne tłumy, także obcojęzyczne. Z pewnością jest to jedna z piękniejszych i ważniejszych nekropoli świata.

Krzysztof R. Mazurski

# Uff, jak GORĄCO!!!

Specjalnie postępuję się w tytule cytatem ze znanego wierszyka dla dzieci. Chcę nim przyciągnąć uwagę szanownych czytelników „Na Szlaku”. Wędrujemy w różnych górach Europy, Azji, obu Ameryk. Ale czy ktoś postawił swe kroki w tak egzotycznych miejscach, jak góry Sultanatu Omanu, na wybrzeżu Morza Arabskiego? Przebywając w tym mało znanym kraju od czerwca 1991 r., postanowiłem skusić potencjalnych wędrowców czymś absolutnie niezwykłym. Chcę mianowicie w kilku słowach opowiedzieć o zupełnie nowych doświadczeniach górskich, związanych z przebywaniem w górach znajdujących się pod Zwrotnikiem Raka. A więc do rzeczy.

Oman jest krajem liczącym z grubsza 220 tys. km. kw. powierzchni. Ten obszar zamieszkuje około 2,5 mln ludności. 85% powierzchni stanowią obszary półpustynne i pustynne, zaś 15% kraju to tereny górskie lub uważane za górskie. Najwyższą kulminacją kraju jest szczyt Jebel Shams (Góra Słońce) – 3050 m n.p.m. Masyw Al Shams wchodzi w skład pasma Jebel Akhdar (Góry Zielone) na północy Omanu. Nazwa nieco na wyrost, ponieważ skąpość roślinności sugerowałaby zupełnie inną nazwę. Rzeźba grani i ścian, deniwelacje nieodparcie nasuwają typowo tatrzańskie porównania. I w zasadzie na tym można poprzestać z porównaniami. Góry północnego Omanu nie są dziełem orogenezy alpejskiej. Jak wynika ze szczegółowych badań, „wyrzuciły” się z dna morskiego, a proces ich kształtowania, trwający ok. 100 milionów lat, przypominał iście piekielne igraszki z gigantycznymi erupcjami magmy wulkanicznej, trzęsieniami ziemi itp. zjawiskami. Zaskoczenie więc, ale i zachwyt, budzą wspaniałe klify nadmorskie, tyle że bez morza w tle, bo morze jest o jakieś 150 do 200 km na wschód. Geologowie badający te tereny dostają przysłowiowego zawrotu głowy, widząc tę niesamowitą mieszankę: partie gór bazaltowych, poprzetykane fragmentami wapieniami oraz całe połacie granitów. A wszystko to wielce potrzaskane, podlegające przyspieszonej erozji, potęgowanej przez bardzo trudny klimat. Inny charakter mają góry południa Omanu, a więc moje „rodzinne strony”, bowiem mieszkam w stolicy regionu południowego Dhofar, mieście Salalah. Tu z okien mieszkania spoglądam sobie na

pasma jakby żywcem przeniesione z polskich Beskidów. Okolice Salalah to pasma o nazwach: Al Kamar, Al Qamr i Samhan. Nie są to góry wysokie. Najwyższy szczyt kulminuje w paśmie Samhan (1820 m). Przeciętna zaś wysokość oscyluje w pobliżu 1000 m. Niemniej jednak, ze względu na położenie tych pasm – bezpośrednio w pobliżu linii brzegowej morza, deniwelacje są naprawdę spore. Podstawowym budulcem tych gór jest wapień i piaskowiec. Według bardzo niepełnych informacji, są to tereny wyjątkowo atrakcyjne w sensie eksploatacji speleologicznej. Łącząc sobie w dolinie o nazwie Ain Razat (Źródło Razat) około 15 km na północny zachód od Salalah, zupełnie się nie wysilając, znalazłem na stokach siedem sporych otworów jaskiń. Dać to może pewne wyobrażenie o drzemających możliwościach tych gór.

Jak wędrować? Jest to problem podstawowy. Wszystkie pasma górskie są praktycznie bezwodne. Te nieliczne, tryskające źródła nie zapewniają możliwości bezpiecznego przebywania w górach. Temperatury są bowiem bardzo wysokie, a wydatek energetyczny ogromny. Trzeba więc dźwigać wodę ze sobą. No dobrze, ale ile tej wody można zabrać na plecy? Istna kwadratura koła!!! Bardzo ważną sprawą jest, gdzie i z kim się wędruje. Nie można absolutnie pozwolić sobie na zapuszczenie się w dowolnie wybrany rejon. Można zostać stamtąd przepędzonym przez bardzo nieufnych, ale za to zawsze uzbrojonych tubylców. Były, niestety, również notowane wypadki śmiertelne wśród nieostrożnych turystów. Przed wyruszeniem więc należy zaopatrzyć się w specjalny dokument, wystawiany przez Ministerstwo ds. Turystyki, z odpowiednimi pieczęciami z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dobrze jest mieć ze sobą uzbrojonego przewodnika. To tak na wszelki wypadek, gdyby okazując posiadane papiery, trafiło się na niepiśmiennego kacyka (rzecz raczej powszechna w odległych rejonach kraju). O noszeniu ciężkich plecaków „w ożywczym chłodnym wiatku”, nie ma co marzyć. „Puchnie” się po kilku godzinach. Zalecane jest wędrowanie z założonych uprzednio baz wypadowych. Całe zaopatrzenie (woda, namioty, kuchnia itp.) dostarczane jest albo za pomocą samochodów terenowych – tam, gdzie jest to możliwe, albo na grzbietach niazastapionych tu „okrętów pustyni”, czyli wiel-

błądów. Wtedy można sobie pozwolić na całodniowe wypadki z lekkim plecakiem. Jest to jednak dość droga zabawa.

W górach należy zwracać uwagę na lisy, często chorujące na wściekliznę, skorpiony, wilki – dużo mniejsze od europejskich, ale za to agresywniejsze, zaś w górach północnego Omanu można się liczyć ze spotkaniem „leoparda arabskiego”. Jest to duży kot, bardzo bliski krewny leopardów afrykańskich. Zwierzę jest objęte ochroną, jednak zabrany na wędrowkę uzbrojony człowiek może w tym momencie wykazać się swymi umiejętnościami strzeleckimi. W przeciwnym bowiem razie, brrrrrr, aż strach pomyśleć.

Wszyscy chętni muszą się liczyć z przywiezieniem ze sobą praktycznie całego sprzętu turystycznego. Poczynając od butów – zalecane są wysokie, a zarazem lekkie buty trekkingowe o dobrych spodach, kijki narciarskie lub do turystyki, szczególnie przydatne na stromych i kruchych podejściach. W górach północnego Omanu turyści używają kasków z uwagi na „nisko przelatujące kamienie”. Zalecana wielkość używanego plecaka: 25 do 35 l pojemności. Najlepszą porą do eskapad jest tutejsza jesień i zima. W zimie, czyli między grudniem a marcem, trzeba się liczyć z silnymi wiatrami oraz ze sporymi spadkami temperatur (oczywiście zważywszy na położenie geograficzne). Te spadki temperatur dotyczą jednak tylko określonych rejonów na północy kraju. W czasie wyjątkowo chłodnej zimy 1993 r., najniższą temperaturę, -3°, zanotowano w położonej w dolinie, u stóp Gór Zielonych, miejscowości Saiq. W rejonie najwyższego szczytu Omanu, Al Shams, w grudniu 1992 r., około godz. 15<sup>00</sup>, temperatura wynosiła +19°. A dlaczego nie piszę: na szczycie – tylko w jego rejonie? Ano dlatego, że szczyt góry zarezerwowany jest dla armii i stoi tam „bardzo ważna stacja radarowa”. Wstęp, bardzo surowo zabroniony!!! Szkoda! A już liczyłem, że będę, kto wie, może pierwszym Polakiem na tym szczycie.

To tyle tych zdawkowych, ale mam nadzieję, zachęcających brzmień informacji z kraju, którego góry stanowią wciąż wielką skarbnicę dla wszystkich tych, którzy nie znają słowa zmęczenie, zniechęcenie upałem i odległościami. Bo są to rzeczywiście góry dla miłośników niczym nie skażonej przyrody, dla prawdziwych eksploratorów. Może więc do zobaczenia „na szlaku”, a raczej bez szlaku pod półksiężycem?

Tomasz Maria Dyras

# Spacerkiem po górach

czyli redaktor  
Józef Nyka  
informuje

## NA ŚMIERĆ GARY'EGO BALLA

I znowu wiadomość od Andrzeja Skłodowskiego, tym razem smutna. Na Dhaulagiri, w obozie III (7350 m), w dniu 5 października 1993 r. zachorował na chorobę wysokościową i następnego dnia zmarł znany alpinista nowozelandzki, Gary Ball – jeden ze słynnej dwójki Ball i Hall. Dwójka ta uprawiała alpinizm zawodowo, prowadząc komercyjne wyprawy na Everest i inne wysokie szczyty. Wsławiła się niewiarygodnym wyczynem: wejściem w ciągu 7 miesięcy na najwyższe szczyty wszystkich 7 kontynentów, w tym na Everest, Mount McKinley, Vinson Massif na Antarktydzie. Trzy próby zdobycia K2 nie powiodły się im. Lakoniczna depesza nie podaje szczegółów wydarzeń na Dhaulagiri, wypada jednak stwierdzić, iż śmierć ta jest nową przestrożą dla wszystkich, próbujących tam wysoko przełamać opory własnego organizmu. Przy kolejnych próbach wejścia na K2 Gary miał kłopoty z aklimatyzacją. Zeszłego lata wraz z Hallem wyruszył z obozu IV na Grani Abruzzów. Niebawem poczuł się źle i z wysokości ok. 8200 m trzeba było zawrócić. W ciągu paru godzin rozwinęła się ostra choroba wysokościowa, która tylko cudem nie zakończyła się śmiercią. Niepomny tego ostrzeżenia, Gary tej jesieni raz jeszcze sięgnął po magiczne 8000 – tym razem nie zawodowo, lecz dla przyjemności. Wyjeżdżając z Nowej Zelandii powiedział lekceważąco: „Although Dhaulagiri is a very serious objective, this climb is a case of boys at play...” Komentarz chyba zbyt czyny.

Ale imiona Gary'ego Balla i Roberta Halla pozostaną na zawsze w naszej polskiej pamięci. W tragiczne dni katastrofy na Lho La w maju 1989 roku i desperackiej walki Artura Hajzera o zorganizowanie pomocy dla uwięzionego w lodach Andrzeja Marciniaka, obaj Nowozelandczycy byli tymi alpinistami, którzy – rezygnując z własnych planów – pośpieszyli spontanicznie na ratunek. Z lodowca Rongbuk wraz z Arturem dotarli do Andrzeja i ocalili

mu życie. Nie zapomnimy tego, Gary, i twoje imię wymienimy wśród drogich nam osób w najbliższy Dzień Zaduszny.

## ŚMIERĆ NA LODOWYM

Dramatyczne przeżycia ma za sobą Waldek Betlejewski (70), kiedyś członek Koła KW w Bielsku-Białej, a od szeregu lat mieszkaniec Warszawy. Nauczyciel z zawodu i pracownik w I Społecznym Liceum Ogólnokształcącym skupił on wokół siebie grupkę zapalonych do gór młodzieży, z którą odbywał atrakcyjne wycieczki w Tatry. W końcu września 1993 celem była Dolina Pięciu Stawów Spiskich. 29 września z popularnej „Terinki” wyruszyło troje młodych ludzi pod wodzą Władka i dwójki taterników, przygodnie poznanych w schronisku. Pogoda była znakomita i wejścia dokonano w szybkim tempie. Rezerwę czasu postanowiono wykorzystać na zejście nieco trudniejszą drogą. I na tej właśnie drodze nastąpiła katastrofa. W mocno ekspozowanym terenie potknęła się 17-letnia Karolina Kajperówna, która spadła w przepaść. Schodząc trudnymi skalami wprost w kierunku nie żyjącej już dziewczynki odpadł jeden z owej dwójki taterników, mieszkający w Kanadzie 32-letni Zbigniew Koperczak. Jego zwłoki znaleziono dopiero nazajutrz. „Była utalentowaną, pełną radości życia dziewczyną, darzoną powszechną przyjaźnią i sympatią”, napisano o Karolinie w szkolnym nekrologu. Waldemar Betlejewski ma duże doświadczenie wspinaczkowe zarówno z Tatr, jak i z innych gór. Wieloma obozami i wyjazdami klubowymi sam kierował. Pamiętamy go też jako beletrystę taternickiego, nagradzanego na konkursach literackich za opowiadania i nowele.

## CORAZ GŁĘBSZE, CORAZ DŁUŻSZE

O ile ze strony gór nie oczekują nas już topograficzne niespodzianki, o tyle świat jaskiń kryje jeszcze bezlik tajemnic, choć eksploracja i tu postępuje żywo naprzód. Nowe kilo-

metry przybyły amerykańskim gigantom długości: Wind Cave ma już 113 km korytarzy, zaś słynna Jewel Cave 145 km (najdłuższe jaskinie Tatr skąpo przekraczają 10 km). W jaskini K3 w Pasmie Bzybskim w Kaukazie wyprawa francusko-ukraińska spenetrowała pionową studnię o głębokości 410 m, co jest rekordem wśród studni nie zaczynających się od powierzchni ziemi. Koliduje z tym stwierdzeniem wiadomość, jaką nam przekazał Franci Savenc: 40-osobowy międzyklubowy chorwacki obóz eksploracyjny badał w sierpniu jaskinię Lukina Jama w Velebitie. Dotarło w niej do głębokości 1375 m, nie osiągając dna. Główna „Verticala” we wnętrzu ma 540 m głębokości. Do innej sensacji doszło w masywie Crlou w Sabaudii, gdzie grotolazom z Lionu udało się połączyć jaskinie L. Bouclier i Gouffre Mirolida. Powstał system o głębokości 1436 m, drugi pod tym względem we Francji i piąty na światowej liście. Znany włoski magazyn „Alp” ogłosił artykułik prostujący rozpowszechnioną w literaturze informację, iż jaskinię Lamprechtsofen wyprawa Andrzeja Ciszewskiego połączyła z nadległą jaskinią Vogelschacht, przez co system uzyskał głębokość 1550 m. Tę błędną wiadomość podał wpływowy brytyjski „International Caver”, a powtórzył ją także „Alp”, do czego nie przyznał się jednak w obecnym artykuliku.



## WIELICKI 10 x 8000

I znów nawiązujemy do świetnych tradycji himalaizmu polskiego. Z pięknymi wynikami powrócił z Tybetu wyprawa Krzysztofa Wielickiego. Oprócz niego w jej skład wchodził: Marco Bianchi z Włoch, Joao Garcia z Portugalii, Piotr Pustelnik, Zbigniew Terlikowski i Mariusz Sprutta z Polski. U stóp Cho Oyu bazę rozbito 4 września na wysokości 5700 m. Bawiło tam kilka innych wypraw, trwała też infiltracja z Nepalu, tym razem zabrakło bowiem chińskich sił policyjnych. Pogoda we wrześniu była według określenia Wielickiego „fatalna” – co dnia sypał śnieg. Cel wyprawy stanowiło wejście najwybitniejszym z filarów w zachodniej flance masywu i dokończenie drogi zakopiańskiej, która powyżej 7100 m ucieka do drogi normalnej. Na wysokości 6500 m stanął namiot, zaporęczowano ok. 200 m trudnego terenu (IV, miejsca V). 17 września wyruszyli w górę Wielicki i Bianco, którzy dolną część drogi pokonali osobnymi wariantami. Na wysokości 7000 m rozbili namiot i po odpoczynku 18 września kontynuowali drogę wprost do szczytu. Pokryte kopnym śniegiem plateau dało im się mocno we znaki. Przejście powtórzyli w dniach 21–24 września Pustelnik i Garcia, korzystając z obu namiotów i dodatkowo biwakując.

W dniu 28 września rozpozodziło się na dłuższy czas, a wyprawa przerzuciła się pod Shisha Pangmę (8027 m). Baza stanęła 30 września w odległości 4 godzin od ściany południowo-zachodniej. W dniach 3–6 października na szczyt weszli stylem alpejskim Pustelnik i Bianchi, idąc okrężną drogą Grošelja (w 1982 r. przebytą w zejściu przez Anglików). Wielicki w tym czasie podszedł pod ścianę i 7 października samotnie zaatakował piękny problem, jakim był kuluar na prawo od drogi Scotta, u góry zamknięty 300-metrową ścianą skalną. Z lodowym kulwarem uporał się do rana, ściana jednak zajęła mu szereg godzin. Trudności przerosły jego oczekiwania, cofnąłby się – mówi – gdyby istniała możliwość odwrotu. W ok. 12 godzin dotarł do grani i o 17.30 osiągnął szczyt. Dodać trzeba, że wyprawa dokonała wszystkich 4 wejść na najwyższe punkty Cho Oyu i Shisha Pangma, co przy obu tych szczytach nie jest bynajmniej powszechną praktyką.

Shisha Pangma stanowi „jubileuszowy” 10 ośmiotysięcznik Krzysztofa Wielickiego, przy czym istotna jest nie liczba, lecz – podobnie jak u Kukuczki – sportowa jakość jego wejść. Na 4 szczyty wszedł on nowymi drogami, na jeden (Broad Peak) w jednodniowym ataku w górę i w dół, na 3 jako pierwszy w zimie (Everest 1980, Kangchendzōnga 1986 i Lhotse 1988). W światowym rankingu zajmuje obecnie jedno z czołowych miejsc, w tym sezonie nastąpił jednak ruch wśród zdobywców i trudno przewi-

dzieć, jak ostatecznie ułożą się nazwiska. Z tego, co wiemy, w połowie października, porządek jest następujący:

- 1) Reinhold Messner .....14
- 2) Jerzy Kukuczka (+) .....14
- 3) Erhard Loretan .....11
- 4) Marcel Rüedi (+) .....10
- 5) Viki Grošelj .....10
- 6) Fausto de Stefani .....10
- 7) Krzysztof Wielicki .....10
- 8) Benoit Chamoux .....10

Najlepszą pozycję zajmuje niewątpliwie Słoweniec Grošelj, który ma za sobą wszystkie „wysokie” 8-tysięczniki (latem wszedł na K2). Na jesień planował Annapurnę, Loretan pojechał pod Kangchendzōngę – czy im się powiodło, nie wiemy.

## DEKLARACJA NA RZECZ TATR

W dniach 6–11 września 1993 obradowała w Zakopanem, pod patronatem UNESCO, PAN oraz Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, międzynarodowa konferencja EUROMAB IV. W jej ramach odbyło się sympozjum naukowe poświęcone przyro-

dzie Tatr, w którym uczestniczyłam. Wybitni prelegenci zaprezentowali kilkanaście tematów dotyczących Tatr i innych gór w kraju i na świecie (mówiono nawet o Alasce). W wyniku wnikliwych dyskusji postanowiono wystąpić z deklaracją, której polski tekst brzmi następująco:

Uczestnicy Międzynarodowego Sympozjum MAB (Człowiek i środowisko) na temat „Strefowość w górach wobec zmian globalnych”

\* będąc pod wrażeniem piękna i przyrodniczej unikalności Tatr;

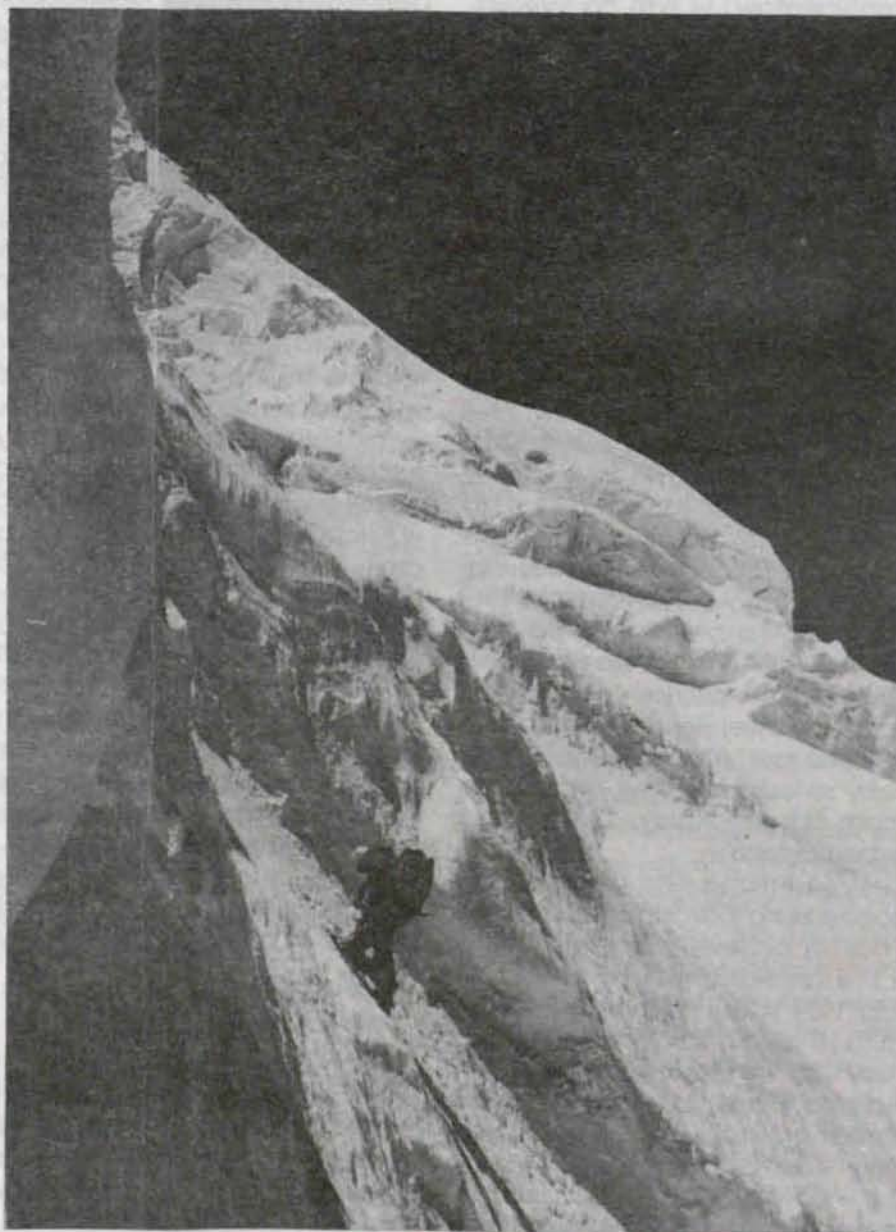
\* biorąc pod uwagę różnorodne współczesne zagrożenia zarówno poszczególnych gatunków, jak i całych biotopów tych gór;

\* czując zarazem wspólną odpowiedzialność za zachowanie i ochronę obu Tatrzańskich Parków Narodowych

### apelują

do najwyższych władz Polski i Słowacji, do lokalnych społeczności, do dyrekcji Tatrzańskich Parków Narodowych o poczynienie niezbędnych kroków intensyfikacji wspólnych działań na rzecz ochrony obszaru Tatr, uznanego przez społeczność międzynarodową za Rezerwat Biosfery, oraz popierają propozycję uznania obu Tatrzańskich Parków Narodowych za OBIEKTY ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA.

Barbara Morawska-Nowak



Przejście przez seraki. Foto: A. Tarnawski

# GÓRY I ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

## HIMALAJE TATRY SKAŁY

### „Sankcja na Eigerze”

Trevanian, to pseudonim literacki amerykańskiego autora powieści sensacyjnych i szpiegowskich, który debiutował w 1972 roku bestsellerem *The Eiger Sanction* (*Sankcja [wyrok] na Eigerze*). Światową popularność tej książki umocniła jej wersja filmowa z Clintem Eastwoodem w roli głównej. Kolejne powieści tego autora, *The Loo Sanction* i *The Main*, również szybko stały się bestsellerami, lecz za najbardziej udaną książkę Trevaniana uważa się wydaną w 1979 roku *Shibumi*, w swoim czasie najlepiej sprzedawany kryminał w USA i Europie Zachodniej.

Bohater *Sankcji*, dr Jonathan Hemlock, jest znanym i cenionym, ale obojętnym profesjonalnym wykładowcą historii sztuki na uniwersytecie, koneserem i namiętym kolekcjonerem zazwyczaj kradzionych obrazów, wyrachowanym łowcą pięknych kobiet, wybitnym alpinistą i pozbawionym poczucia winy zawodowym zabójcą. Pracuje dla CII (102), specjalnej komórki wywiadu zajmującej się likwidowaniem agentów przeciwnika i karaniem śmiercią (wykonywaniem sankcji) morderców własnych pracowników. Ale doktor Hemlock zabija wyłącznie dla pieniędzy i tylko wówczas, gdy ich naprawdę potrzebuje – np. na nowy obraz.

Ostatnim, jak postanowił, jego zadaniem będzie wykonanie sankcji w trakcie wspinaczki po słynnej północnej ścianie Eigeru w Alpach Szwajcarskich. „Cel” jest członkiem zespołu i przypuszczalnie wie, że ma być zlikwidowany. Jonathan ma zabić, ale dokładnie nie wie kogo. Ostatecznie podczas odwrotu ze ściany w załamaniu pogody giną wszyscy jego partnerzy, zaś sam Hemlock przeżywa dzięki pomocy przyjaciela, kierującego organizacyjną stronę przedsięwzięcia.

O tym, kto był celem misji naszego bohatera, przeczytajcie sami, gdyż to (jak zwykle) okazuje się dopiero na samym końcu. Poszukiwaczy literatury alpinistycznej rozczarują: opisy wspinaczki są naiwne i nieprawdziwe, tak jak nieprawdziwa jest łatwość, z jaką Hemlock zdobywa kobiety. (a)

Trevanian, *Sankcja na Eigerze*, tłum. Agnieszka Noworyta-Waluś, Wydawnictwo PRIMA, Warszawa 1993, ss. 288.

### ATOMIC w Polsce

Ryszard Warecki, katowicki wspinacz, autor kilku filmów górskich i pierwszy – jak powiada – Polak na szczycie Shisha Pangma (8025m), obecnie szef chorzowskiej firmy „Summit-Sport”, otarł się

był we wrześniu ub.r. o „tamtą stronę” życia. Pędząc fiastą po drodze szybkiego ruchu między Bytomiem a Gliwicami, miał (bez wyraźnej przyczyny) „czołówkę” z jadącym z przeciwka żukiem. Choć uwięziony na dłużej w rozbitym doszczętnie aucie, w efekcie doznał tylko lekkich obrażeń. Przy okazji, na własnym przykładzie, zapoznał się ze skutecznością i szybkością działania polskich służb ratowniczych: najpierw czekając 40 minut na pomoc na szosie, a później odsiadując 2 godziny w oczekiwaniu na obdukcję i opatrunki w izbie przyjęć. Krótko potem, jak gdyby na osłode, udało mu się sfinalizować dawno negocjowaną i oczekiwaną umowę: wyłączność na Polskę na handel nartami firmy „ATOMIC”. (al)

### Co z festiwalem?

Mimo trudności, trwają przygotowania do IV Międzynarodowego Festiwalu Filmów Górskich („Kukuczkiwskiego”), który ma się odbyć w obiekcie kinowo-sportowym kopalni STASZIC na Giszowcu w Katowicach, w dniach 3-6 marca 1994 roku. Jego dyrektorem jest Ewa Hajzer. Wbrew oczekiwaniom, ale zgodnie z duchem czasu, największym problemem, z jakim się boryka, jest brak pieniędzy (sponsorów). Preliminarz imprezy przewiduje wydatkowanie od 1,5 (w wariacie „ubogim”) do 3,5 miliarda złotych (w wersji „na przyzwoitym poziomie”). Do akcji pozyskiwania sponsorów i promocji festiwalu włączyła się m.in. profesjonalna firma consultingowa z Katowic, która robi to odpłatnie. Niestety, jeżeli do końca stycznia nie uda się zgromadzić choćby połowy potrzebnej kwoty, lub przynajmniej uzyskać wiarygodnych zapewnień od potencjalnych zleceniodawców reklam, to festiwal trzeba będzie odwołać. Byłaby to niepowetowana strata i dla polskiego środowiska alpinistycznego, i dla polskiej kultury, gdyż katowicki festiwal jest jak dotąd największą w kraju i jedną z ważniejszych w Europie imprez o tym charakterze. (a)

### Luuuz-u brak

Zbigniew Piotrowicz, redaktor zaprzyjaźniony z nami biuletynu informacyjnego Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu pt. „Luuuz”, zapowiada, że ukazanie się (po dłuższej przerwie) jesiennego ('93) numeru tego czasopisma jednocześnie oznaczać będzie definitywne zakończenie jego działalności na tym stanowisku. Powody tej decyzji są dwa: mniej ważny – odcięcie Konradowa (siedziba redakcji) od świata, czyli brak telefonu, a przez to kontaktu ze środowiskiem; drugi, istotny – urodzenie się córki, co sprawia, że zapewnienie bytu

powiększonej do 4 osób rodzinie nie pozostawia czasu na fanaberie w postaci redagowania gazety. Pismo jest zagrożone upadkiem, gdyż nie wiadomo, kto mógłby „pociągnąć” je dalej. Obecnie już tylko nieliczni zajmują się jeszcze działalnością nie przynoszącą korzyści finansowych. (a)

### Styl (Twój) bałamutny

Kiedy oni wspinają się na coraz wyższe szczyty, (...) one samotnie zmagają się z żywiołem codzienności. (...) Nie są zazdrosne o inne kobiety. (...) Wszystkie akceptują pasję męża, chociaż nie wszystkie potrafią zrozumieć. (...) Boją się, ale wierzą, że ich mężowie wrócą. Obiecali przecież. (...) Większość z nich to jednak doświadczony alpinistki. Mają za sobą okres intensywnej wspinaczki, jeździły na wyprawy. (...) Pracują zawodowo, prowadzą dom, wychowują dzieci, ale ich myśli krążą wokół gór. (...) Nauczyły się dozować lęk, dzielić go na etapy.

Zony alpinistów! Reportażystki „Twojego Stylu” wydusiły z nich wszystko, przesłuchały dokładnie i bezkompromisowo. Chciały napisać prawdę, a wyszły bzdury – przykład na to, jak z faktów można stworzyć zupełnie fałszywy obraz rzeczywistości.

Majka Cichy ma lęk przestrzeni, w Tatry chodziła tylko turystycznie i oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że bierze ślub także i z górami, jednak nie doceniała



Jerzy Kukuczka

skali problemu. Anna Milewska (Zawadowa) zdecydowałaby się wspinać wyczynowo, gdyby nie szkoła teatralna – bardzo absorbująca. Nie lubi zimna. Sądzi, że rozłóżka to najlepszy sposób na trwałość i świeżość uczuć. Grażyna Chrobakowa brała pod uwagę możliwość najgorszego. Halina Kurtykowa marzyła: Powtórzyć sukcesy Wandy Rutkiewicz, znaleźć się wśród najlepszych. Ale urodziła dzieci i spasowała. Ewa Hajzer nie próbuje zatrzymać męża. Akceptuje jego pasję, mimo że ich syn ma dopiero dwa lata. Jolanta Wielicka kocha dom, ogród, kwiaty. Raz była z mężem w bazie pod Annapurną. Wróciła przekonana, że jej miejsce jest w domu, przy dzieciach.

A mężowie? Mężowie zarabiają na kolejne wyprawy, duszą się, gdy zbyt długo nie ma ekspedycji, mają porachunki z K-2, marzą...

Wróciwszy z gór Krzysztof Wielicki jest samą łagodnością. Wkrótce wyruszy chyba na Alaskę; na Mc Kinleyu jeszcze nie był. Po zimie spędzonej w Himalajach budysta Wojciech Kurtyka zbacza ze ścieżki prowadzącej do nirwany i ulega ziemskim słabościom – zjada na dworcu mielonego. Zamierza wytyczyć drogę na zachodniej ścianie K-2 przypominającej beczkę. Artur Hajzer na nizinach kieruje firmą produkującą odzież sportową i plecaki, gdyż musi zarobić na wyprawę. Chce zdobyć w ciągu roku czternaście ośmiotysięczników. Przyjaciel z Glasgow namawia go na wyprawę na Czomolungmę. Pewnie się nie oprze. Leszek Cichy też ma swoje porachunki z K-2. Próbował trzy razy – bezskutecznie. Nie dał jednak za wygraną. Z kolei Andrzej Zawada marzy o zdobyciu K-2 zimą.

W rzeczywistości, z nich wszystkich wciąż (i to ostro) wspina się Wielicki. Kurtyce od dwóch lat nie sprzyja szczęście – wyjeżdżał, ale do zdobywania gór z różnych powodów nie dochodziło. Pozostali nie byli na wyprawach od lat.

\*\*\*

W numerze grudniowym efektownego, dobrze drukowanego i ciekawie łamanego „Twojego Stylu”, Alina Niedzielska współpracując z Haliną Kleszcz, na blisko pięciu stronach, przetykanego ilustracjami i zdjęciami tekstu, stworzyły gniot na poziomie szkolnego wypracowania, portret czegoś, co w rzeczywistości nie istnieje. To coś nazwały „żony alpinistów” – pojęcie równie obszerne, jak słowo „ludzie”. To straszne, że z wielu prawdziwych informacji i autentycznie wypowiedzianych zdań, można ulepić coś równie bałamutnego i nieprawdziwego.

Wszystkie powyższe zdania, z nieznanymi tylko zmianami, są zaczerpnięte z ich artykułu według klucza: co przeciętny czytelnik zapamięta z tego tekstu? Pomijając to, że merytorycznie część podanych faktów nie trzyma się kupy, tekst pt. „Daleko od Everestu” pokazuje żony alpinistów jako stódkie i dzielne... idiotki (nie są zazdrosne o inne kobiety, ale o góry jak najbardziej), zaś ich mężów jako fanatyków gór, idących za marzeniem bez względu na przeszkody i tylko chwilowo zajmujących się zarabianiem pieniędzy.

Taki, zupełnie wypaczony, obraz

poszedł w Polskę czyniąc szkodę wszystkim wymienionym w tekście z imienia i nazwiska osobom. W poszukiwaniu wspólnego mianownika dla problemu, który uogólnić się nie da, dziennikarki „Twojego Stylu” spaliły ciekawy temat. Ośmieszyły swoich bohaterów i własny warsztat dziennikarski, zbałamuciły czytelnika. (al)

## Wspinaczkowy notatnik Młodego

To straszne, ale zaczynają się (nareszcie!) ukazywać książki opisujące te lata polskiego taternictwa, w których ja sam tkwiłem po uszy od zarania mojej własnej kariery wspinaczkowej, czyli od początku lat 70. Książki, jak ta najnowsza, Andrzeja „Młodego” Machnika, *Na kolanach do koryta*, nie o wyprawach, nie o górach najwyższych, nie o Himalajach, a o Tatrach, Tatrach naszych kochanych właśnie.

Z Andrzejem w tym samym czasie zaczynaliśmy, a w latach aż do stanu wojennego licząc, nasze alpinistyczne drogi krzyżowały się w Tatrach wielokrotnie. Razem nie wspinaliśmy się nigdy, czemu teraz się trochę nawet dziwię, ale w końcu jeszcze nic straconego. Za to razem okupowaliśmy nie raz i nie dwa te same stoły w jadalni lub na werandzie „Moka” (schroniska) i nie raz w tym samym czasie wycieraliśmy własnymi ciałami jego korytarze, polegając mniej czy bardziej legalnie w tłumie nam podobnych obdartusów.

Później różne tam takie Himalaje, Karakorum i tym podobne oderwały mnie od Tatr, a Młodego, który – można rzec – pozostał im bardziej wierny niż ja, nie spotykałem przez lata. I to też mnie dziwi, choć to całkiem normalne – czasem ludzie mijają się po prostu i tyle.

Wspominając Machnika z lat 70., zawsze (tak już chyba będzie do końca) oczyma duszy widzę go w parze z Wackiem „Wackiem” Sonelskim. Dwaj wieczni antagoniści, niezmordowani dyskutanci, wciąż o coś się spierający, przeciwieństwa w każdym calu, a jednak partnerzy. I jeszcze jedno, co na temat Młodego utkwilo mi w pamięci na zawsze: kilka razy stłukł sobie w górach dupę (bez żadnych przenośni), ale najpoważniejsze stłuczenie miało miejsce na Direttissimie Małego Młynarza. Tak więc na hasło Młody, mój mózg, jak komputer, wyrzuca od razu słowa-klucze do poszukiwania dalszych informacji: Wacio i dupa/direttissima. Dopiero w dalszej kolejności idą inne skojarzenia.

Rzuciłem się na Machnika chciwie i przeczytałem go łapczywie, wiedząc, że ma chłop dobre pióro i pisze o czasach, które znam bardzo dobrze. Szukałem wspomnień, oczekiwałem, że choć na chwilę wrócę do świata, który nigdy się nie odrodzi, przeminał na zawsze, bo nie ma już tego naszego Moka, i nie ma wielu ludzi z tamtych lat, a ci co są, też już nie ci sami co wtedy. Chciałem popatrzeć na owe lata, niechby i cudzymi oczyma; w końcu porównanie tego, co pamiętam z tym, jak postrzegają to inni, na swój sposób – jak Młody – wyróżniający się w środowisku, mogłoby być nadzwyczaj ciekawe.

Skończyłem czytać zdziwiony, że to

już koniec, pełen niedosytu i zawodu, gdyż oczekiwałem czegoś innego, właściwie sam nie wiem dlaczego. Oczekiwałem książki „o ludziach i zdarzeniach”, a tymczasem jest to po prostu wspinaczkowy „kapownik” Młodego. Postaci ledwie naszkicowane, schematyczne, raptem po jednym lub kilka zdań o ludziach, o których można by napisać całe książki. A ja tak bardzo chciałem, by Andrzej scharakteryzował ich jak to on, ostro i dosadnie (dlaczego by nie?), celnie ekspozując cechy charakterystyczne, żeby pisząc całowitą, choć swoją prawdę, jednak lekko zamącił, włożył kijek w mrowisko, zmusił do polemiki bądź do napisania książek o tym samym, ale przez innych.

Machnik zadziwił mnie pamięcią... lub dokładnością notatek. W *Korycie* aż roi się od rysek, zacięć, złych chwytów, klamek, haczyków, słabych jedynek, zimy, pyłówek i dupowy oraz szczegółów przejść, których bez zapisków ja nie potrafiłbym podać nawet kilka dni po fakcie, a cóż dopiero po 15-20 latach. Rozumiem, iż ta moja ułomność polegająca na zapamiętywaniu tylko niektórych epizodów z przejścia ściany i jedynie pewnych fragmentów jej topografii ma swoje przeciwieństwo w ludziach, jak Krzysiek Pankiewicz, który zapamiętywał wszystko i potrafił tworzyć opis drogi z najdrobniejszymi detalami nawet długo po fakcie, ale dla mnie w *Na kolanach* za wiele wspinaczki, a za mało zwykłego, ale jakże barwnego (zwłaszcza w odbiorze po latach) taternickiego życia, naszego życia!

Nie czepiam się. I tak uważam książkę za dobrze napisaną, interesującą i wartą przeczytania. Wiem, że nie jest to książka dla mnie, bo ja mam swoje własne wspomnienia i mój obraz tamtych lat. To jest książka dla młodych (nomen omen), którzy (może nawet jeszcze dziś o tym nie wiedząc) stworzą wkrótce swój własny taternicki światek i swoją własną historię, a to, o czym pisze Machnik, jest dla nich przeszłością równie odległą i pasjonującą, jak dla mnie czasy Klarnera i Nanda Devi East. (al)

## I Festiwal Filmów Górskich w Popradzie



Nam wszystkim przyzwyczajonym do chodzenia (legalnie i również na lewo) „na Słowację”, wciąż trudno przyzwyczaić się do faktu, że oto teraz, od kilku już miesięcy, możemy co najwyżej udać się „do Słowacji”, kraju jak inne, odrębnego i niepodległego.

Młoda republika bardzo stara się być normalnym państwem i nie szczędzi na ten cel pieniędzy, których – jak wszyscy w tej

części świata – z pewnością nie ma w nadmiarze.

Jednym z przejawów takich starań jest zorganizowanie w Popradzie I Międzynarodowego Festiwalu Filmów Górskich, który odbył się w dniach 13-17 października 1993 r. Jego dyrektorem była, wspomagana przez męża, młoda i wiotka doktor nie wiem czego (RNDr.) Gabriela Reckova. Jest coś znamiennego w fakcie, że ostatnio festiwalami filmów górskich zajmują się na świecie głównie kobiety: Daniela Cecchin w Trento, przedtem Krysia Warecka, a teraz Ewa Hajzer w Katowicach, Bernadette McDonald w Banff, Reckova w Popradzie. Czyżby mężczyźni nie mieli głowy do takich „błahostek”, czy może po prostu nie potrafią podołać bezmiarowi związanych z tym problemów?

Wygląda na to, że Słowacja jako państwo, a Poprad jako faktyczna stolica ichniego Podtatru, potraktowały festiwal z należytą mu powagą, widząc w tej – jak by nie było – międzynarodowej imprezie, szansę na promowanie kraju i regionu, a w tym przede wszystkim ich potencjalnych walorów wypoczynkowych, narciarskich i turystycznych. Dzięki temu festiwal, który w założeniu ma odbywać się co roku, korzystał z bardzo poważnej pomocy rzeczowej i finansowej władz, bez której z pewnością nigdy nie doszedłby do skutku.

Bez wątpienia, najłatwiej organizuje się zawsze pierwszy festiwal i nie wiadomo, jaka będzie przyszłość przedsięwzięcia stworzonego przez doktor Reckovą, ale plany są ponoć ambitne, z budowaniem przez miasto kina na tysiąc osób włącznie.

Popradzki festiwal numer „jeden” był

dobrze zorganizowany (jeśli pominąć brak piwa w bufecie, co wydaje się być w tym kraju nieprawdopodobne, a jednak), ale nie czuło się jeszcze na nim atmosfery, tego nieuchwytnego „coś”, co z czasem ma szansę wykreować się podczas imprez o charakterze cyklicznym. Ze zdziwieniem konstatowano również fakt, że prócz wyjątków (I. Koller, J. Weincziler, P. Rajtar, T. Cada) festiwalu nie zaszczylili swoją obecnością przedstawiciele środowiska alpinistycznego byłej Czecho-Słowacji, a nie mieli przecież daleko.

Spośród ok. 100 pokazanych filmów, do konkursu zgłoszono nieco ponad 20. Grand Prix zdobył (podobnie jak w Trento) film australijski z 1992 roku, reż. przez Michaela Dillona, pt. „Od morza do Everestu” (60 min.). Wyjątkiem wartym zaznaczenia był fakt, że żadnej nagrody nie zdobył film Mirosława Dembińskiego pt. „Mój mały Everest”, co zdarzyło się dopiero po raz drugi na 15 udziałów tego dzieła w różnych międzynarodowych festiwalach. al

## Rambo w pionie

Dzięki uczestnictwie w pokazie przedpremierowym, jaki odbył się w ramach I Festiwalu Filmów Górskich w Popradzie, nieco wcześniej nim zaczęto rozpowszechniać go w Polsce, miałem okazję zapoznać się z najnowszym dziełem pana Rocky Rambo – super herosa ekranu, filmem pt. „Clifhanger”, co na użytek widowni polskiej przetłumaczono „Na krawędzi”.

W obrazie tym Sylvester Stallone alias Rambo, alias Rocky, który wcześniej



zdołał już być pokonać wszystkich przeciwników na ringu i w wietnamskiej dżungli, rozpoczął walkę z gangsterami w pionowych urwiskach skalnych.

Jego podstawową bronią są mocarne łańcuchy, adekwatna do ich siły technika wspinaczkowa, gdzie dźwięki „uch!” i „uff!” oraz stęknięcia „ych!”, przeplatają się z potężnymi strzałami do kolejnych klamek, a także koszulka bularka, skutecznie (jak widać to gołym okiem) zabezpieczająca naszego bohatera przed wiatrem i padającym śniegiem w najtrudniejszych nawet sytuacjach.

Sama fabuła jest bez znaczenia i nie będę jej tu opowiadać, gdyż opisywano ją już w kilku czasopismach i licznych gazetach: gra idzie o brawurowo zrabowane, ale zgubione w górach, miliony dolarów, i to w zasadzie wszystko.

Rambo w cywilu ma lęk przestrzeni, a podczas realizacji „Skałozwisielca” nigdy ponoć nie oderwał się od ziemi na więcej niż 6 metrów. Reszty dokonały efekty specjalne, dublerzy (Ron Kauk i Wolfgang Guelich), komputery i makiety, co w sumie dało efekt trudny do opisanania.

Skoro filmu tego nie można sobie wyobrazić, zatem trzeba go zobaczyć, zwłaszcza gdy jest się wspinaczem lub choćby miłośnikiem gór. Ale warunek: oglądamy z przymrużeniem oka, gdyż w przeciwnym wypadku trafi nas szlag!

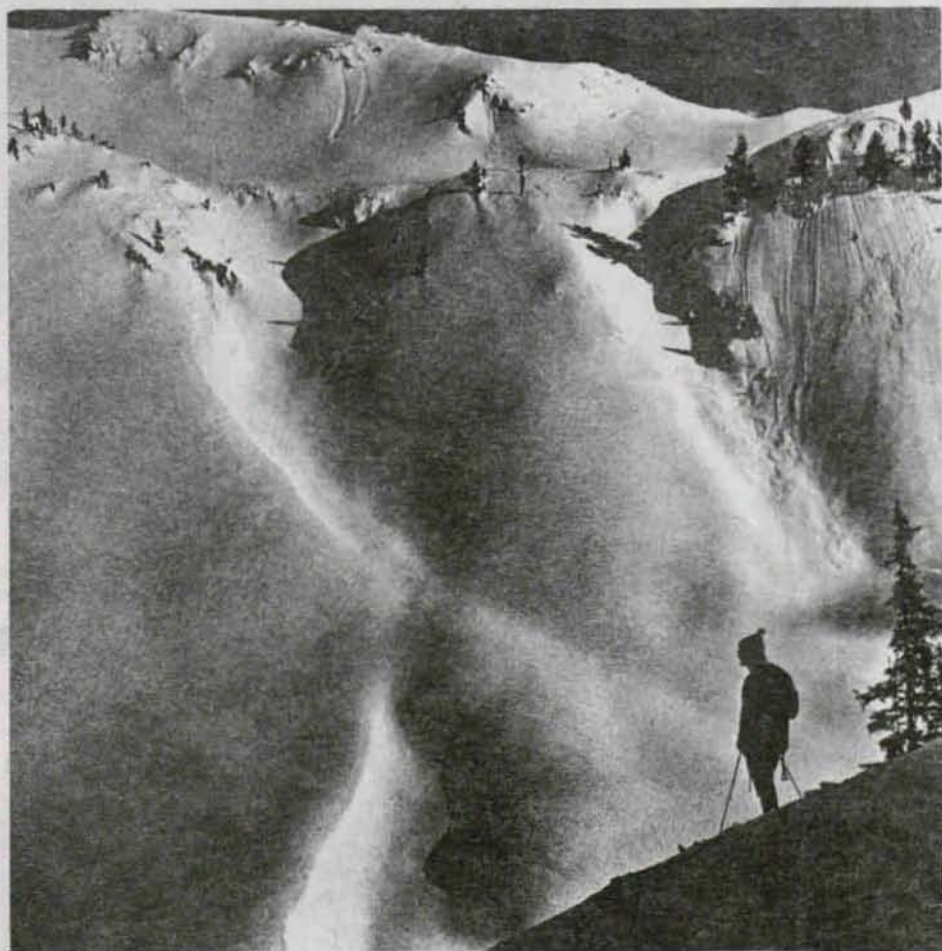
Rekomendował: A.L.

## Teplíce wracają

Spotkany przez nas na festiwalu w Popradzie znakomity czeski skałozwiscielca Tomas Cada poinformował, że po kilkuletniej przerwie od przyszłego roku rusza ponownie Festiwal Filmów Górskich w Teplicach nad Metuji. Poza wszystkim ma to być wyraz hołdu złożonego pamięci tragicznie zmarłego w ubiegłym roku Miro Smida, jednego z twórców i Dobrego Ducha tej imprezy.

Bez Mirosława na pewno nie będzie to już ten sam festiwal, ale dobrze, że w ogóle będzie.

Aleksander Lwowa



W Alpach. Foto: Archiwum A. Lwowa

Konstanty Gaszyński

JUNGFRAU PRZY ZACHODZIE SŁOŃCA

W chwili, gdy słońce letnie kończy obieg dzienny,  
Gdy z samotnego wzgórze myśl moja jak strzała  
Po szczytach Oberlandu gdzieś w niebo leciała,  
Spotkałem okiem Jungfrau wierzchołek promienny!

O przepychu natury nad dziw senny!  
Góra dziewiczym śniegiem brylantowa, biała,  
Nagle się, jak rumieńcem, purpurą oblała  
I zda się płonąć ogniem w przestrzeni bezdennej!

Lecz zwolna błędnie, gaśnie; – różana purpura  
Na szafir się zamienia – szafir na opale –  
Aż w końcu w nocnym mroku stopiła się góra!

– Tak w nas wszystko co ziemskie, choć błyszczą  
wspaniale,

Młodość, wdzięk i uroda – po chwilce istnienia  
Błędnie – mija – i znika we mgle zapomnienia!

1850

NA JEZIORZE THUNE W SZWAJCARII

Szklane jeziora fale rączy statek orze –  
Tum podróżnych podziwia te niebios lazury,  
Te brzegi szmaragdowe i te srebrne góry;  
I powtórny ich obraz odbity w jeziorze!

Włoch wziął papier – rysuje pejzaż na tym wzorze;  
Anglik czyta w *Handbuku* opis tej natury –  
Francuz wychwala głośno łąd, wody i chmury,  
Szwajcar prawi o nowym *Vorrortu* wyborze.

Polak stał zadumany i patrzył milczący  
Na tych skarbów przyrody widok czarujący,  
I z oczu mu spłynęła cicha łza wzruszenia!

O! byłby to hymn hymnów, godny brzmieć na chwałę  
Temu, co stworzył ludziom cuda tak wspaniałe,  
Gdyby tej łzy uczucia mogły zlać się w pienia!

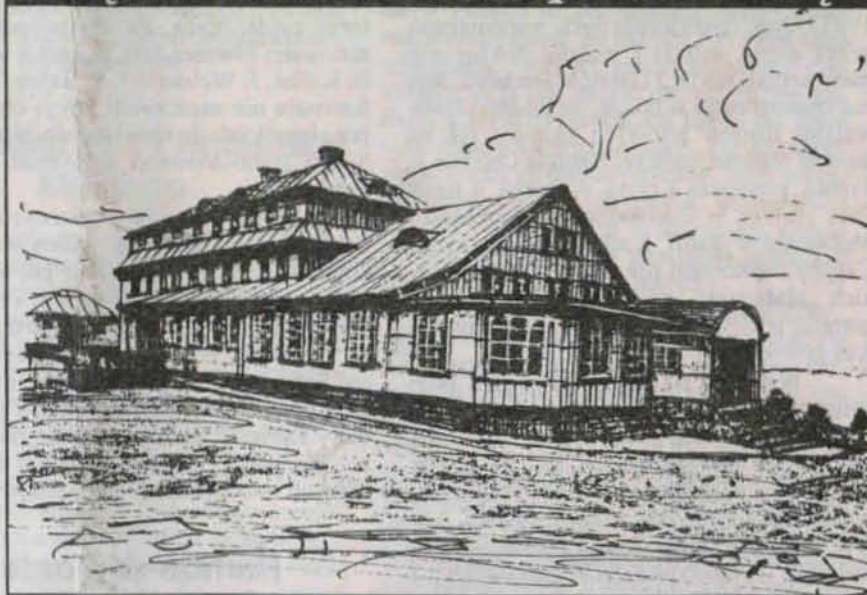
1851

Kochał się w pięknej pannie z sąsiedztwa, ale Klementyna Sławińska wyszła za mąż za innego, bogatszego, właściciela Kuźnic zakopiańskich, Emanuela Homolacza i „znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Taty, Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry”. Kochanek cierpiał, gdy zaś w rok później złożył sąsiedzką wizytę rodzicom ukochanej, z rozpaczą musiał wysłuchiwać, „jak córka szczęśliwa, / Jakie zięć ma intraty za welnę i żniwa, / Ile w stajniach rzy koni słynnych krwią i rasą / I jakie trzody owiec po halach się pasą”. Później, Konstanty Gaszyński (1809-1866), bo o nim mowa, wzięwszy udział w powstaniu listopadowym, podzielił wygnaniec los Wielkiej Emigracji, przyjaźnił się z Adamem Mickiewiczem i Zygmuntem Krasińskim, leczyl nadwątlone zdrowie w uzdrowiskach francuskich, niemieckich, szwajcarskich i włoskich. W zbiorze swych poezji wydanych w Paryżu w 1856 r. pomieścił kilka ślicznych wierszy o Alpach. Odzywają się w nich echa *Sonetów krymskich* Mickiewicza, którego Gaszyński był entuzjastą (Polak z sonetu *Na jeziorze Thune w Szwajcarii* bardzo przypomina „jednego podróżnego” z *Burzy* Mickiewicza), ale dźwięczy ta poezja czystym własnym tonem i precyzyje czystej wody romantyczny sposób przeżywania piękna gór, których urodzie z polskich romantyków nie jeden tylko Gaszyński poświęcił piękne strofy.

Do druku podał Jacek Kolbuszewski

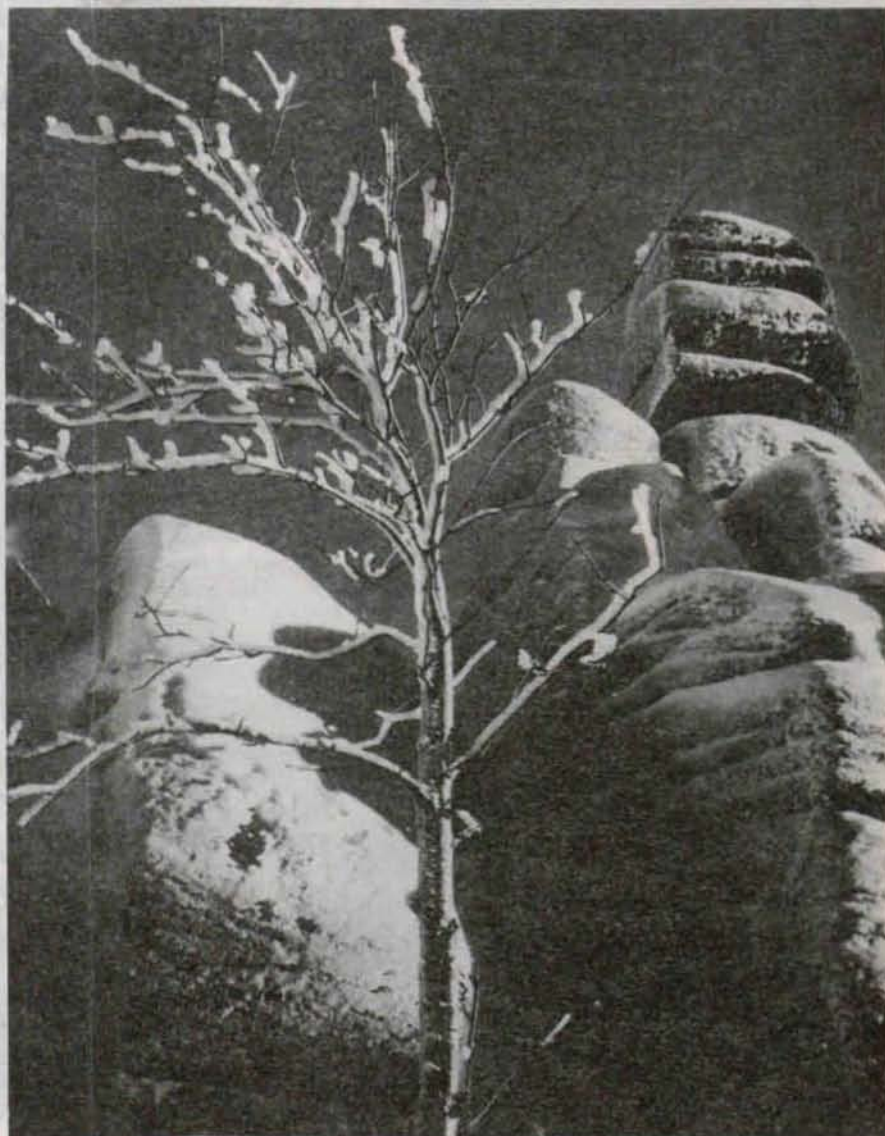
\* Zauważyłem, że Anglicy wobec najpiękniejszych widoków natury zamiast patrzeć i uwielbiać, zawsze nasamprzód czytają opis miejscowości w dziele Murray'a pod tytułem *Handbook* (przyp. aut.).

SCHRONISKA SUDECKIE PTTK  
W RYSUNKU PAWŁA DACKO  
Śląski Dom na Przeł. pod Śnieżką



UWAGA CZYTELNICY!

Prenumerata za 1994 r. wynosi, wraz z kosztami przesyłki  
190 000,- zł. Uwaga! Nowy telefon do Redakcji: 386-69.



Fragment Piełgrzymów w Karkonoszach. Foto: Zdzisław J. Zieliński